WTOREK Nr 26 3 III 1981 Cena 1.50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

POMÓŻCIE SAMOTNEJ PANI ANIELI

Pani Aniela przez 42 lata związana była z zawodem nauczycielskim. Ma za sobą 3,5 roku tajnego nauczania podczas okupacji. Jest członkiem ZBoWiD-u. Obecnie cierpi na chorobę wieńcową, z trudem porusza się po mieszkaniu, jest samotna. Mieszka w Domu Nauczyciela w Klimontowie, w pobliżu Zbiorczej Szkoły Gminnej, ale nikt nie pamięta o starszej kobiecie. Rozżalona na obojętność koleżanek i dawnych uczennic, tak pisze do „Głosu Nauczycielskiego": **„...Bywa, że zwyrodnieją drzewa, kwiaty, ptaki czy ryby, ale to nikogo nie dziwi. Gorzej, gdy wśród ludzi dziczeją obyczaje, zanika kultura i humanitaryzm, gdy serce staje się kamieniem, obojętnieając na cudze nieszczęścia, niemoc, chorobę!..."**

Apelujemy do uczniów Zbiorczej Szkoły Gminnej w Klimontowie: **zainteresujcie się byłą nauczycielką. Odwiedzcie Panią Anielę, zapytajcie się, w czym moglibyście jej pomóc. Przejmijcie część niezbędnych obowiązków związanych z zakupami, porządkami domowymi. Wasza obecność może sprawić, że życie tej Pani będzie lżejsze i radośniejsze.**

Zwracamy się też do wszystkich czytelników, których poruszyła samotność nauczycielki: napiszcie do Niej. Sądzimy, że Wasze serdeczne listy będą dla tej Pani miłą niespodzianką.

Wszystkim zainteresowanym podajemy adres: **Pani Aniela Macewicz, Klimontów, 27-640, ul. Szkolna 3, Dom Nauczyciela.**

A. Studziżba

Fot. Renik

Bogini Kali lubi kozy

Nadszedł wreszcie dzień, w którym postanowiłem opuścić Kathmandu. Ważność nepalskiej wizy zbliżała się ku końcowi, moje fundusze również. Zatem kupno biletu, nie bardzo jeszcze wiem lotniczego czy autobusowego i królewska stolica pozostanie wspomnieniem. Nic nie zapowiadało niespodzianki. A jednak...

CIĄG DALSZY NA STR. 5

OSIEDLE PAGE'A – FANTAZJA CZY SZANSA?

● BANK CIEPŁA ● WIELKIE AKWARIUM-SZKLARNIA ● WYKORZYSTANIE ENERGII SŁONECZNEJ ● OBOK NOWOCZESNOŚCI – PROSTE TECHNOLOGIE

WIELKA BRYTANIA (PAP). 9 tys. funtów kosztowało wybudowanie makiety osiedla przyszłość projektu Andrew Page'a – brytyjskiego urbanisty. Osiedle przeznaczone by było dla 2 tys. osób. Główne jego założenia: dać ludziom możliwość korzystania z najnowocześniejszej techniki, a zarazem uwolnić ich od uciążliwości, jakie ona niesie. Czy to w ogóle możliwe? – zastanawiają się oponenci Page'a.

Twórca projektu sądzi jednak, że jest to możliwe i planuje cały szereg zachęcających rozwiązań. Czego tam nie ma... Centrum: duży plac, wolny od ruchu kołowego, a wyposażony w obiekty handlowe, biblioteki, ośrodki kultury i zdrowia. Łatwe gospodarowanie energią w związku z koncentryczną formą osiedla, łatwa także łączność. Ośrodek hodowli ryb pod szklanym dachem – takie jakby akwarium – z obiegiem wody zbliżonym do takiego, jaki jest w naturalnych zbiornikach i bujną roślinnością. Wykorzystanie naturalnych źródeł energii, np. słońca. A nawet – bank ciepła, w którego gromadzeniu ma pomóc właśnie akwarium-szklarnia.

„Projektodawca przyjmuje, że do wytwarzania żywności, odzieży i tego wszystkiego, co potrzebne w życiu codziennym, byłyby wykorzystywane proste, „czyste" technologie. Nowoczesna technika – roboty, komputery – służyłaby głównie do uwalniania ludzi od tych zajęć, które są wyjątkowo monotonne i uciążliwe dla ich zdrowia. **(tok)**

(CAF). Czy poznajecie? Te śniegowe potworki to przecież nasi dobrzy znajomi – Kermit, Świnka i Wielki Gonzo z „Muppet show" – ulepione ze śniegu przez uczniów z St. Gallen (Szwajcaria). (kl)

Zdaniem naukowców z USA

NIE TYLKO WIATR, ALE I DESZCZ NIEBEZPIECZNY DLA SAMOLOTÓW

USA (PAP). Przeprowadzone ostatnio badania przyczyn wypadków lotniczych, finansowane przez NASA, doprowadziły do nowego spostrzeżenia. Zauważono oto, że nie tylko wiatr, uważany – słusznie zresztą – za głównego wroga pilota, ale i deszcz jest ogromnie niebezpieczny, zwłaszcza przy lądowaniu. A już najbardziej niebezpieczny jest deszcz gwałtowny i grubokroplisty – np. typowo burzowa ulewa. Zakłóca on bieg strug powietrznych, opływających maszynę, a zwłaszcza górną powierzchnię skrzydeł. Normalnie powietrze opływa górną ich powierzchnię szybciej, niż dolną, i to powoduje powstanie siły nośnej. Deszcz zakłóca to zjawisko i powoduje zmniejszenie owej siły. Na dodatek napiera z góry na samolot, który i tak jest już „słabszy". Specjaliści sądzą, że trzeba będzie dokonać pewnych zmian w konstrukcji samolotów, by wyeliminować to „deszczowe niebezpieczeństwo". **(tok)**

XV PLENUM RADY NACZELNEJ ZHP

15–17 marca – VII Zjazd ZHP

Na pierwszym planie DRUŻYNA

W ostatnich latach w pracy Związku wystąpiły nieprawidłowości rzutujące na całokształt działalności harcerskiej. Dlaczego tak się działo? Wydaje się, że jedną z głównych przyczyn było pomijanie przez władze ZHP wszystkich szczebli tej prawdy, iż służąc dzieciom i młodzieży nie wolno tracić z oczu ich autentycznych potrzeb. Tymczasem podejmowane decyzje programowe i organizacyjne nie tylko że tym potrzebom nie wychodziły naprzeciw, że coraz bardziej odbiegały od oczekiwań młodzieży, to ogrom zadań, imprez i akcji kierowanych odgórnie nie pozwalał harcerzom na pełne wykazanie się własną inwencją.

CIĄG DALSZY NA STR. 3

POD EGIPSKIMI PIASKAMI odkryto JESZCZE JEDNĄ PIRAMIDĘ

EGIPT (PAP). Piramida ta, zbudowana z pokaźnych głazów, a licząca ok. 20 m wysokości, została wykryta w rejonie Sakkara, niedaleko od innych, najstarszych piramid egipskich. Ta nowo odkryta prezentuje podobny jak tamte styl, a pochodzi z III-go tysiąclecia p.n.e. Archeolodzy starają się teraz wyjaśnić jej pochodzenie. **(tok)**

NU, ZAJAC, POGODI!

Serial „Wilk i zając" cieszy się ogromnym powodzeniem zarówno w Związku Radzieckim, jak i u nas. Dzisiejszy „Gwiazdozbiór" poświęciliśmy właśnie tej sympatycznej parze. Str. 6.

GÓRALSKI KRAWIEC...

...to rzadkie dziś zajęcie i zawód. Nie bardzo garną się do niego młodzi, a „stara gwardia" powoli się wykrusza. Więc – szkoda. Bo skąd będą brali górale te wspaniałe haftowane portki z parzenicami, skąd kolorowe guziki, które tak cieszą oczy, gdy zabraknie fachowców od ich strojów?

70-letni pan Stanisław Budzyński z Bukowiny Tatrzańskiej (widzicie go na zdjęciu, gdy prezentuje swoje haftowane wyroby) jest właśnie góralskim krawcem. Jego rzemiosło to już prawdziwa sztuka. Świadczą o tym najlepiej liczne nagrody, które zdobywał na konkursach regionalnych i ogólnokrajowych. Wiele jego prac wywędrowało za granicę Polski, gdzie zdobi różne prywatne kolekcje. **(kl)**

Fot. CAF – Stanisław Momot

REPORTER Świata Młodych

GDYBY ODE MNIE ZALEŻAŁO

MOŻE SIĘ ZASTANOWIĄ?

W Wodzisławiu jest duża grupa młodzieży, która psuje nam opinię. Chodzą nocami i krzyczą, niszczą mienie społeczne. Mało tego – zaczepiają ludzi! Chciałabym, aby zastanowili się nad swoim zachowaniem. Przecież od młodego pokolenia zależy nasz kraj.

„Madzia"

ŻŁOBIENIE PRZEZ ŻYCIE...

Iwona z Sandomierza w 13 „ŚM" (Liga Reporterów) zaapelowała do tych, z których życie nie zrobiło jeszcze „bezmyślnych marionetek", by stali się „twardymi skałami". Otóż twierdzę, że stanie się w obecnie panującej sytuacji „twardą skałą" jest niemożliwe! W pewnym sensie musimy się dać społeczeństwu wyżłobić, aby się móc do niego choć odrobinę przystosować.

Pomyliłaś tu dwa pojęcia. Pojęcie życia i środowiska. Otóż według mnie, da się uniknąć żłobienia postaci i osobowości przez środowisko – oczywiście stając się „twardą skałą", ale nie da się uniknąć żłobienia osobowości przez życie. Przecież to życie nas uczy zachowania w pewnych sytuacjach, to życie potrafi zrobić z nas w zależności, jakie jest, ludzi dobrych lub złych, ludzi o miękkim sercu i ludzi o twardym jak kamień sercu, ludzi godzących się z życiem i nie godzących się, itp. Można tu wymieniać wiele typów ukształtowanej przez życie psychiki ludzkiej. Tego więc nie da się uniknąć.

Mając dość przykre doświadczenie, że z nauczycielami się nie wygra, własne zdanie zostawiam dla siebie i dla grona wypróbowanych przyjaciół. W naszym gronie rozmawiamy o swoich własnych wadach i w pewnym stopniu staramy się je powoli likwidować. Jest to grono harcerzy, którzy nie dali w sobie wyżłobić pewnych brutalnych praw rządzących środowiskiem młodzieży.

1. Harcerz służy Polsce Ludowej i dla niej sumiennie spełnia swoje obowiązki.

2. Harcerz chce zmieniać świat na lepszy, jest zawsze z tymi, co walczą o wolność i równość ludzi.

3. Harcerz jest sprawiedliwy i odważny, śmiało broni słusznej sprawy.

Z tych trzech punktów prawa harcerskiego wynika, że w obecnej sytuacji harcerstwo powinno być wyrazicielem opinii pokolenia, które na przygotowanym przez swoich rodziców gruncie będzie musiało budować przyszłość dla swoich dzieci. Ale jak do tej pory nic o tym nie słyszałem. Czyżby i harcerstwo stało się „komuś" podległe?

Czemu np. żaden druh czy druhna kompetentna do wyrażenia zdania na tematy gospodarki narodowej nie wypowiedziała się do tej pory na łamach „ŚM"?

Takie np. „wolne soboty". Nie jesteśmy krajem, który stać na to, by w sobotę i niedzielę stanął przemysł. Nie jesteśmy Amerykanami, by co tydzień wyjeżdżać na dwudniowy „week-end"!!! Czy nie lepiej najpierw, wydajnie pracując, wyprowadzić kraj z kryzysu, a potem myśleć o odpoczynku? Zbyt często też używa się tego ostatecznego środka, jakim jest strajk!!!

Dorośli! Dajcie nam szansę!!! Abyśmy nie musieli zaczynać budowy przyszłości naszych dzieci od zera!!!

Ryszard Starzyński
Zielona Góra

PRAWO PIĘŚCI

Ostatnio wiele osób trenuje różne sposoby walki i obrony, ucząc się poszczególnych chwytów. Nie wszyscy jednak potrafią przyswoić sobie także filozofię dalekiego wschodu.

Byłem niedawno świadkiem złego użycia umiejętności walki. Działo się to w czasie sobotniej dyskoteki w szkole. Nagle w jednym końcu sali rozpoczęła się bójka między dwoma chłopakami. Jednego znałem i wiedziałem, że trenuje karate od czterech lat. Powodem walki okazało się, że chłopak, który nie najlepiej tańczył, potrącił „karatekę". Zaraz przeprosił, ale to na nic się nie zdało, dostał porządne lanie. Nikt ze starszych nie pomógł mu, nawet przyjaciele „trzęśli portkami" o własną skórę. Trzeba to zmienić, choć sam nie wiem, co należy zrobić.

Jacek

NIE „POCZUCIE HUMORU" LECZ – RZECZYWISTOŚĆ

Do napisania skłonił mnie list Gośki z Pruszkowa wydrukowany w Lidze Reporterów, a zatytułowany „Poczucie humoru". Gośka pyta czy jest możliwe pomieszczenie w szkole zamiast 800 przewidywanych uczniów – 1500? Otóż jest możliwe i to jak najbardziej. W naszej Szkole Podstawowej nr 3 w Kole też jest przepełnienie. *„Szkoła obliczona na 450 uczniów mieści obecnie ponad 900, więcej niż planowano, choć planowano na wyrost, licząc się z potrzebami rosnącego pod bokiem przy ulicy Kolejowej, osiedla".* Jest to cytat z „Przeglądu Konińskiego" z dnia 26.X.80 r. Przytoczę jeszcze jeden, a mianowicie: *„Ciepła szkole dostarczają w dalszym ciągu piece, które też już ledwie dyszą i wymagają kapitalnego remontu, czyli przestawienia od podstaw, szkoła chronicznie cierpi na brak sprzątaczek, nikt bowiem nie kwapi się do ciągłego noszenia węgla i palenia w piecach na długo przed lekcjami, żeby dzieci miały ciepło i mogły pobierać naukę w jakich takich warunkach".*

A teraz trochę z moich własnych obserwacji. Szkoła jest rzeczywiście zimna. Kiedy na dworze panuje mróz, klasy zamieniają się w „lodówki", jak to określają sami nauczyciele. Niekiedy na lekcji nie można pisać, tak grabieją ręce. Tyle o naszej szkole. Druga ze szkół, Szkoła Podstawowa nr 1 jest w podobnej sytuacji. Według zebranych przeze mnie informacji, panuje tam przepełnienie. Jest ono podobno jeszcze większe, niż w naszej „trójce", choć ja sama nie wyobrażam sobie, by to było możliwe.

Przy ulicy Kolejowej rosną wciąż w górę bloki, w szkołach przybywa uczniów. Co prawda, mówi się o budowie nowej szkoły, ale jak na razie to się tylko m ó w i. Gdyby ode mnie zależało, to przede wszystkim wybudowałabym nową szkołę. Jasną, przestronną, czystą i miłą.

„Bebi"

PÓŁ ROKU TEMU...

W okresie letnim w okolicy ulicy Trojdena w Pruszkowie wydarzył się wypadek. W wielorodzinnym spółdzielczym domu (tak zwanym „przechodnim"), wybuchł gaz. Strefa zniszczeń wybuchu objęła trzy, czy cztery mieszkania. Ponieważ wybuch miał miejsce w mieszkaniu na ostatnim poziomie, tuż pod dachem, dach częściowo również uległ uszkodzeniu. Obraz zniszczeń przedstawia się następująco: wybite szyby (okna załatane dyktą), pogięte, porozrywane rynny, dziury w ścianach. W mieszkaniach rozwalone wnętrza (szczególnie w centrum wybuchu). W tych czterech mieszkaniach do tej pory nikt nie mieszka – mieszkańców ewakuowano.

Inni ludzie przechodząc pod rozprutymi ścianami są zagrożeni spadającym gruzem i tynkiem. Od okresu wybuchu nie zajęto się w ogóle do tej pory odbudowaniem zniszczonych partii budynku, w którym mogłoby mieszkać o 4 rodziny więcej. Minęło już ok. 6 miesięcy.

Maciej Czarniawski
(lat 15)

DLACZEGO „A" STOI W CIENIU „B"?

Nasza klasa „B" jest zupełnie przeciętna, daleko jej do ideału. W szkole jest naturalnie równoległa do naszej klasy „A". Los, jeśli tak można to nazwać, jest dla nas nieprzychylny. Jeśli wykonujemy jakąś pracę, to wyróżnia się klasę „A", a „B" pozostaje w cieniu. Dotychczas godziliśmy się z taką sytuacją, ponieważ w naszej szkole przyjęło się od lat, że klasy „A" są lepsze. Niedawno przebrała się miarka. Mieliśmy wspólnie zaplanowaną i opłaconą wycieczkę. W dniu poprzedzającym wyjazd dowiedzieliśmy się nagle, że my nie jedziemy, bo nie ma drugiego autobusu. Klasa „A" naturalnie jedzie. Gdy pytaliśmy, dlaczego, odpowiedziano nam, że „oni tę wycieczkę wymyślili i dlatego oni pojadę". A wycieczkę wymyśliliśmy wspólnie! Nie pomogły prośby – nie, i koniec.

To ciągłe wyróżnianie jednej klasy powoduje konflikty między nami. Czujemy się poniżeni i małowartościowi. Gdzie tu szkolna sprawiedliwość?

„Zgnębiony F."

KTO MI WYTŁUMACZY?

Od pewnego czasu zaczęła denerwować mnie sprawa akcji antyalkoholowej przeprowadzana w szkołach. Chodzi mianowicie o odczyty, jakie co parę miesięcy wygłaszają w szkołach panowie z Komitetu Przeciwalkoholowego. Wygłaszają pogadanki na temat szkodliwości alkoholu dla zdrowia, wyświetlają filmy. W naszej np. szkole ukazano na filmie ludzi z Zakładu dla Psychicznie Chorych w Pruszkowie. Pod koniec takiego odczytu pada pytanie, moim zdaniem bardzo logiczne, ze strony uczniów: „Dlaczego wobec tego alkohol się produkuje?" Odpowiedź brzmi: „Niech podniosą ręce ci, u których na święta nie ma alkoholu". W mojej klasie nikt taki się nie znalazł, a pan z komitetu mówi: „No więc – widzicie".

I jaki jest sens tego wszystkiego?

Anga

STANĄŁ NA 18,45

Pelplin jest małym miasteczkiem leżącym w południowej części woj. gdańskiego. Posiada malownicze położenie, bogatą historię i sporo cennych zabytków. Miasteczko mogłoby być o wiele bardziej atrakcyjne, gdyby zaszło tu choć kilka zmian. Napiszę o trzech.

Głównym utrapieniem jest fakt, iż przepływająca przez Pelplin rzeka Wierzyca jest okropnie zanieczyszczona przez fabrykę lekarstw „Polfa", znajdującą się w Starogardzie Gdańskim. Stan rzeki jest okropny. Wielokrotnie już obiecano mieszkańcom, że w „Polfie" zostaną założone skuteczne filtry, a rzeka zostanie pogłębiona i oczyszczona. Obiecano, że stanie się to najpóźniej do roku 1980. Tymczasem mamy rok 1981 i jakoś nic się nie dzieje. Gdyby zależało to ode mnie wszystkie „obiecanki" władz zostałyby już dawno spełnione. Można by wtedy latem przyjemnie spędzać czas nad wodą.

W centrum miasteczka przed kilkoma laty wzniesiono pomnik z fontanną. Wyraża on (o ile mi wiadomo) „formę przestrzenną". Wykonano go chyba z jakiegoś nędznego metalu. Z punktu widzenia większości mieszkańców w zupełności starczyłaby sama fontanna, gdyż „forma" pokryła się jakimś dziwnym, brzydkim nalotem i prezentuje się raczej nieciekawie. Na pewno na wzniesienie tego dzieła wydano słone pieniądze, które z powodzeniem mogły być przeznaczone na jakiś inny i nie cierpiący zwłoki cel.

Mamy jak gdyby maleńką starówkę. Tworzy ją kilka kamienic i oczywiście ratusz z pięknie bijącym zegarem. Tak... Tylko kiedy to ja słyszałam po raz ostatni jego bicie? No, oczywiście, w roku 1979 zegar po długich latach bezczynności został wprawiony w ruch. Chodził tak biedaczysko aż... trzy miesiące, a potem – stop! I od tego czasu nikt nie słyszał pięknego bicia miejskiego zegara. Martwi mnie widok tego bezczynnego zegara, pokazującego nieustannie tę samą godzinę (18,45). Na dodatek ratusz, na którym znajduje się zegar jest obdrapany i sypie się z niego tynk; niszczeje po prostu.

„Suzi" (14 lat)

ZARZĄDZENIA POWINNY BYĆ DLA LUDZI

Wypadło mi stanąć w długiej kolejce przed garmażerią. Mimo że sklep był otwarty, wstępu do niego broniła tabliczka, która głosiła zsiniałym z zimna klientom, iż „czekanie na sprzedaż w sklepie zabronione". Spoza szyby z pogardą spoglądał na nas otyły jegomość (jak się okazało – sprzedawca), prowokujący oczekujących szyderczym uśmiechem. Pewna starsza kobieta z trudem wytrzymująca konieczność oczekiwania na zimnie, odważyła się poprosić ekspedienta o pozwolenie ogrzania się we wnętrzu. „Pan i władca" wybuchnął gardłowym śmiechem i w bardzo niegrzeczny sposób wyprosił ją ze sklepu. Ze łzami w oczach, trzęsąca się z zimna kobieta opuściła kolejkę, kuśtykając w stronę domu.

I tu nachodzi mnie kilka refleksji: czy słuszne jest zarządzenie zabraniające oczekiwania na sprzedaż w sklepie? Czy w sklepach powinni być zatrudniani ludzie o tak negatywnych postawach? Zastanawia również zarządzenie aktualne u nas w Gdańsku o sprzedaży mięsa od godz. 16.00. Przecież ludzie kończący pracę po godzinie 15.00 nie mają szans na zajęcie takiego miejsca w kolejce, które gwarantowałoby im zakup. Pytanie, co tu należy (a raczej trzeba) zmienić jest retoryczne. Jesteśmy przecież wszyscy ludźmi, rasą myślącą i posiadającą poczucie godności, i po przepracowanych godzinach nie należą nam się następne, które wymagają wiele trudu i jak w tym przypadku, poniżeń...

Zenon Elmer (17 lat)
Gdańsk

SĄ I TAKIE PODZIAŁY

Od paru lat nasza klasa podzieliła się na dwie części. W jednej są ci silni w rękach, lecz słabi w nauce, w drugiej na odwrót – słabi w rękach, a silniejsi w nauce. Ci słabsi istnieją wtedy, gdy trzeba odpisać zadanie. Rok temu był chłopak silny i mądry, i próbował się temu przeciwstawić, ale już w niedługim czasie do niczego się nie wtrącał, bo po szkole dostał od innych znacznie silniejszych od niego.

Ja należę do tej drugiej grupy i każdy dzień w szkole jest dla mnie męczarnią. Gdyby ode mnie zależało zlikwidowałbym takie podziały między silniejszymi a słabszymi...

Artur (12 lat)

MYŚL

Człowiek nie może przestać myśleć
o kosmosie czarnym jak perła
o roślinach i zwierzętach
o niepowtarzalnych kształtach
o wodzie wesoło szumiącej wartko

Juliusz z Warszawy

REDAKCYJNA POCZTA

Sposób na samodzielność?

Moi rodzice pracują, mama jest pracownikiem umysłowym, a tata ma warsztat prywatny. Nie poświęcają mi dużo czasu. Mama tylko pyta jak poszło w szkole i to wszystko; inne koleżanki opowiadają często jak tata im pomaga przy pisaniu zadań, mama sprawdza czy mają dobrze zrobione lekcje. Kiedy ich dziecko dostanie piątkę, cieszą się. Ja ciągle muszę mówić nauczycielce, że mama nie miała czasu, żeby mi sprawdzić. Czasem zdarzy się, że mam źle zrobione zadanie i wtedy w klasie wszyscy się śmieją. Wydaje mi się jednak, że dzięki temu, iż sama odrabiam zadania i sama sprawdzam, jestem bardziej samodzielna od innych.

Hania

Zbieram prospekty samochodowe i ze „Świata Młodych" informacje „Świat na czterech kółkach". Założyłem sobie zeszyt z samochodami. Mam ich dopiero 90. Zbieram też fotosy piosenkarzy, poza tym interesuję się filatelistyką. **Jarosław Wierzbicki, oś. Dolnośląska 22/49, 97-400 Bełchatów.**

Szukam przyjaciół i książek

Chciałabym korespondować z jakimś moim rówieśnikiem. W szkole mam kilka koleżanek i kolegów, lecz nie mam z nimi wspólnego języka. Chłopcy rozmawiają tylko o samochodach, a dziewczyny o ciuchach. Bardzo lubię czytać książki, a także je zbieram. Mam ich już kilkanaście. Teraz kompletuję książki z serii „Przygody Tomka Wilmowskiego". Mam już trzy egzemplarze: „Przygody Tomka w krainie kangurów", „Przygody Tomka na Czarnym Lądzie" i „Tajemnicza wyprawa Tomka". Zwracam się do wszystkich z apelem: jeśli ktoś ma książki z tej serii, a może je sprzedać, lub zamienić się ze mną, będę bardzo wdzięczna. W zamian mogę ofiarować książki takie, jak: „Pięć tygodni w balonie", „Pięcioro dzieci i coś", „Feniks i dywan", „Góra Bogów", „Ślady rysich pazurów", „Chłopcy ze Starówki" „Samotny biały żagiel" i inne.

Anna Korpik
Bielejewo 15, 64 Nojewo, woj. Poznań

Jakie zwyczaje panują w innych szkołach?

Trzynastka, to jak powszechnie wiadomo, pechowa liczba. W tym dniu w naszej szkole nie można stawiać dwój żadnemu uczniowi, nawet jeżeli na nią zasłużył. Chyba, że na życzenie samego ucznia. A takich u nas nie ma. Ten żart, to był nasz pomysł, a nauczyciele go zaakceptowali.

Bardzo lubimy Dzień Nauczyciela. Podczas tego uroczystego święta zwyczaje w naszej szkole ulegają zmianie. Wszystkich bez wyjątku przedmiotów nauczają uczniowie, specjalnie przygotowani przez wykładowców. Nawet pani dyrektor ma wolne. Na jej miejscu występuje przewodniczący samorządu uczniowskiego. Mało tego, koleżanki z PCK i kółka gospodarskiego zajmują miejsca pielęgniarek, kucharek i sprzątaczek, a chłopcy – palaczy.

Wesołe są to dni i przyjemne zarówno dla nas uczniów, jak i mam nadzieję, dla nauczycieli. Ciekawa jestem czy w innych szkołach uczniowie też mają swoje zwyczaje?

Małgorzata Kubacka
ze Słupska

OD REDAKCJI: Wraz z Małgosią będziemy czekali na Wasze informacje o zwyczajach i tradycjach panujących w Waszych szkołach. Najciekawsze wypowiedzi wydrukujemy. (bs)

XV PLENUM RADY NACZELNEJ ZHP
15–17 marca – VII Zjazd ZHP

Na pierwszym planie DRUŻYNA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

No dobrze – można zapytać – jak to się jednak działo, że wiele było drużyn, które dając sobie radę z całym tym balastem, potrafiły rozwijać własne zainteresowania, wykazać się pomysłowością, skutecznością i celowością działania. To oczywiście prawda, ale tym bardziej przykre jest, że ci harcerze często bywali niedoceniani. I to wcale nie dlatego, iż poczynania ich stawały w opozycji do linii programowej Związku. Dobrze np. pracującej drużyny nie zauważano tylko dlatego, że nie miała wsparcia w odpowiednio silnym szczepie. A silny szczep – jak dobrze pamiętamy – to był szczep, do którego należało dajmy na to 95 proc. uczniów danej szkoły. Szybki wzrost liczebny organizacji przy braku odpowiednio przygotowanej kadry instruktorskiej, działanie na zewnątrz, na popis, premiowało ilość, a nie jakość harcerskiej pracy. Wcale nie do rzadkości należały więc sytuacje, że szczep w swoim środowisku uchodził za wzorowy (wyróżniał się we wszystkich propagandowych akcjach, świetnie prezentował się podczas manifestacji, pochodów, „galówek"), a trudno było znaleźć w nim choć kilka osób prawdziwie zaangażowanych w harcerską działalność i z działalności tej zadowolonych.

Dziś wiemy dobrze, że przesunięcie środka ciężkości oddziaływań Związku z drużyn na szczepy było poważnym błędem. Łatwiej z pewnością kierować dużymi zespołami ludzi, niż mieć na uwadze np. 40-osobową drużynę; inaczej wygląda odprawa w hufcu z komendantami szczepów niż zajmowanie się z osobna drużynowymi, a co nie daj Boże – zastępowymi. Tak, ale o efektach wychowawczych harcerstwa decyduje nie co innego, a właśnie dobra praca zastępów i drużyn, stąd też w dokumentach przedzjazdowych stwierdza się wyraźnie – **„W centrum uwagi – drużyna"**.

Co to oznacza w praktyce dla Związku? W pierwszym rzędzie konieczność zarzucenia dotychczasowej praktyki centralnego programowania poczynań harcerskich, co nie jest wcale równoznaczne z tzw. puszczeniem organizacji na żywioł. Przedsięwzięcia Związku (z wyjątkiem Alertu Naczelnika ZHP) utracą jednak swój charakter dyrektywny, a staną się propozycjami, z których sami harcerze będą wybierać to, co uważają za najciekawsze i najbardziej potrzebne. Praca zastępów i drużyn opierać się będzie o wspólnie utworzony plan zamierzeń drużyny, plan umożliwiający harcerzom zdobywanie stopni i sprawności, w działaniu zgodnym z wymogami Prawa Harcerskiego.

Z uwagi na ciągłość tradycji i celowość stworzenia takich warunków, w których starsi oddziaływują na młodszych, drużyny powinny być wielopoziomowe. Pozwoli to na uniezależnienie się drużyn od struktur szkolnych (czyli odejście od klasodrużyn).

Nowa ranga drużyny spowoduje, że tworzyć je będą tylko instruktorzy posiadający odpowiednie kwalifikacje, a i same drużyny będą rejestrowane dopiero po okresie próbnym, gdy wykażą się, że potrafią samodzielnie i samorządnie (tak jest! to słowo w harcerstwie odzyskuje należne sobie miejsce) uczestniczyć w tworzeniu harcerskich wartości.

W kontekście tego, co zostało powiedziane, jasnym się staje, że zmienić się musi praca władz Związku, co pociągnie za sobą reorganizację instancji ZHP. Reorganizację bardzo potrzebną, gdyż harcerstwo jest (co warto sobie od czasu do czasu przypomnieć) ruchem społecznym, a nie zinstytucjonalizowaną organizacją obrosłą w biurokratyczną otoczkę. Zwrócenie się w stronę drużyny, powrót do formuły, w której rzeczywiście harcerskie „doły" tworzyć będą kształt Związku, dowodzi, że „góra" ZHP zdaje sobie sprawę, komu i w imię czego ma służyć. Służba drużynie, temu podstawowemu ogniwu Związku, to męskie podanie ręki harcerstwu, potraktowanie go nie jako bezwolnego manekina, którym można manewrować w dowolny sposób, ale jako godnego siebie partnera. Partnera, którego potrzeb i aspiracji nie lekceważy się, a w miarę sił i możliwości stara się je zaspokoić.

Zagadnienia związane z nową rangą drużyny w harcerskiej pracy były pierwszoplanowym tematem dyskusji, jaka toczyła się na XV plenarnym posiedzeniu Rady Naczelnej ZHP. Plenum to ustaliło termin VII Zjazdu ZHP, który odbędzie się w dniach 15–17 marca 1981 r. Rada Naczelna przyjęła porządek i regulamin obrad zjazdowych oraz regulamin wyboru władz ZHP. Podjęto również uchwałę o nierejestrowaniu Kręgów Instruktorów Harcerskich im. A. Małkowskiego oraz powołano komisję, która do Zjazdu opracuje materiał określający warunki do działalności wszelkiego rodzaju kręgów instruktorskich.

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Czy Dziadek Paździerzak był Eskimosem?

W bogatej historii 22 WDH jest i taka karta: „1932 r. – zimowisko w Dolinie Kościeliskiej w domkach lodowych własnej konstrukcji – jako pierwsza drużyna w Polsce". Jak wtedy było w Kościeliskiej? Niestety nie udało mi się dotrzeć do ówczesnych kandydatów na polarników. Za to dowiedziałam się, że harcerze z 22 Szczepu „Watra" ze SP nr 60 w Warszawie mają wśród swoich sprawności również... „Eskimosa".

Siedzimy w harcówce. Ściany wybite surowymi deskami. W kącie sterta materaców, stare narty z ornamentami i napisami „Zorze polarne", „Renifery"... Na ścianie nad kominkiem portret hm. Kazimierza Skorupki, organizatora 22 WDH w 1919 roku, wieloletniego drużynowego. Właśnie podczas jego „rządów" drużyna postanowiła zorganizować zimowy obóz, z dala od góralskich chałup. Załadowali na sanie narty, najpotrzebniejszy sprzęt i pociągnęli je w tatrzańską dolinę. Zbudowali tam cztery domki ze śniegu, w nich prycze, półki. Codziennie mierzyli temperaturę powietrza. Okazało się, że w takich warunkach można mieszkać. Jeden z nich, harcmistrz Leszek Makowski, absolwent Instytutu Wychowania Fizycznego, zawsze miał jakieś niesamowite pomysły, a to budowanie szałasów z papieru smołowego, a to budowę kajaków na obozie, czy produkcję sprzętu narciarskiego.

– *Sprawność „Eskimos"* – wyjaśnia mi Maciek – *jest w naszym szczepie od trzech lat, kiedy to na kursie instruktorskim druh Tomek sprawdził na własnej skórze, że być igloomanem to nic strasznego.*

– *Pamiętam, jak w ubiegłym roku na zimowisku* – mówi Kuba – *miałem z dwoma kolegami próbę na tę sprawność. Wieczorem leżąc w igloo usłyszeliśmy taką rozmowę:*

– *Ee, tu przecież nikt nie może spać.*

– *Chodź, zobaczymy, co oni tam zmajstrowali.*

Łoskot odsuwanych nart, desek i okrzyk:

– *Jezus Maria, tu ktoś jest!!*

Od tamtego zdarzenia udoskonalili konstrukcję igloo. Kandydatów na Eskimosów po prostu się zamurowuje, zamykając wejście do tunelu śniegowymi cegłami.

– *W igloo wieczorem jest zupełnie czarno* – opowiada Maciek – *za to rano jaśniutko; słońce bez trudu przedziera się przez śnieg. Spaliśmy na pryczach, pokrytych gałązkami z igliwia. Pod trzema śpiworami było zupełnie ciepło.*

Co zawiera regulamin sprawności „Eskimos"? Trzeba zbudować igloo, spędzić 24 godziny nie wchodząc do żadnego pomieszczenia, za wyjątkiem oczywiście domku ze śniegu. Trzeba przyrządzić w igloo 3 gorące posiłki, spędzić tam noc. Umieć jeździć na nartach, znać książki Centkiewiczów i hymn Eskimosów:

„Renifer obgryzał chrobotka,
wstawał polarny dzień nowy.
Eskimos Muczańcza założył kufajkę
i poszedł jak zwykle na łowy."

A po zdobyciu sprawności trzeba ją samodzielnie wyszyć: na białym filcu czarną nitką – igloo, bo przecież w CSH tej sprawności nie ma.

Inną atrakcją był Memoriał Dziadka Paździerzaka. Kim jest ów Dziadek? Pytałam, dusiłam i dowiedziałam się tylko tyle, że zabłądził do nich w 1976 r. na zimowisku w Rybakowie. Podobno Dziadek Paździerzak jest wiecznie młody... Aha! Na jego okręcie służył kiedyś majtek o nazwisku Kolumb. Niektórzy podają, że ponoć Dziadek mieszka obecnie na ulicy Kickiego. Inni twierdzą, że z jego żebra została stworzona Ewa. Podejrzana historia... W każdym razie na tegorocznym zimowisku w Siarach odbył się ten Memoriał. Składały się nań: slalom gigant, skoki i slalom specjalny (z gęściej ustawionymi bramkami). Najlepszy był Tomek. Czy Dziadek mu pogratulował? A kto to wie!?

Za to wszyscy wiedzą, że Michał (sanitariusz!) był jedyną osobą, której musiano usztywnić nogę gipsem. A rajd do Ropek posłużył do wyłonienia grupy „odmrożeńców i symulantów".

– *Dziewczyna, która szła za mną* – wspomina Ania – *cały czas zastanawiała się głośno, czy to pierwszy, czy już drugi stopień odmrożenia.*

Żarty na bok, beskidzkie pasmo Magury dało się harcerzom trochę we znaki. Była środa rano. Śnieg iskrzył się w słońcu, a termometr wskazywał –12° Celsjusza. Przed nimi – 25 km trasy. Pierwszy etap przebyli bez specjalnych trudności, wydeptaną trasą. W Owczarach spytali napotkanego górala, jak dojść do Nowic.

– *Panie, kto by tam chodził? Śnieg po pas!* – usłyszeli.

Rezygnować? To nie oni. Postanowili przetrzeć szlak. Przedzierali się przez ten śnieg ponad 2 godziny. Komendant obiecywał: – *Jeszcze 200 metrów, jeszcze 100. Wytrzymajcie.*

Dał sobie radę nawet czwartoklasista Robert. Pod wieczór dotarli do chałupy – w której czekali na nich zaprzyjaźnieni harcerze z Żoliborza, gorąca herbata i krupnik.

– *Nie baliście się zabłądzić w górach?* – pytam.

– *My wierzymy komendantowi, że nas zawsze doprowadzi.*

Rozgadaliśmy się o zimowisku. Trudno się dziwić, jest co wspominać. Ale przecież warto powiedzieć również o przyszłości.

– *Bardzo podobała nam się taka chałupa, jaką mają koledzy z 79 WDH w Ropkach* – mówią. – *Chcielibyśmy i my mieć swoją chatę w górach. Nie musi być elektryczności ani wygód. Gdyby udało nam się taką kupić. Byłoby gdzie jeździć na zimowiska i biwaki.*

– *Na zimowisku* – dodaje Ania – *było fajnie, dużo luzu. Każdy był inny niż w szkole, nie taki sztywny. Osoby, które wspólnie przebywają na obozach, są bardziej zgrane. Widać to potem w klasie. A ludzie po pierwszym obozie czy zimowisku jadą na następne z prawdziwą ochotą.*

ANNA PACIOREK
Fot. **Jakub Grzędziński**

Pakuj, dziennikarzu, walizki i ruszaj w poszukiwaniu anonimowej miłości!!!

Tylko w Was nadzieja, kochana redakcjo. W tym roku byłam na kolonii w Nowej Hucie. Poznałam chłopca, którego pokochałam. Prowadził on dyskoteki na naszej kolonii. Przez długi czas korespondowałam z nim. Jednak już trzy miesiące nie dostałam odpowiedzi na swój ostatni list. Nic nie wiem, co się dzieje z chłopcem, którego kocham. Za Waszym pośrednictwem chciałabym się dowiedzieć, co się z nim dzieje.

Anita

Gdy wracałam od babci z Poznania w trzecim wagonie od końca jechał On. Miał duże niebieskie oczy, blond włosy i piękny uśmiech. Ubrany był w granatowy golf i czarne welwety. Nie zdążyliśmy wymienić adresów. Zrób, kochana redakcjo, coś, aby Go odnaleźć. Ja bez niego nie mogę żyć.

Agata

Byłem na zimowisku w Bierutowicach. Tam zobaczyłem Ewę. Od pierwszego dnia wiedziałem, że jest to dziewczyna, na którą czekałem całe swoje życie. Były trzy wieczorki taneczne. Wymienialiśmy uśmiechy, ale zabrakło mi śmiałości, żeby poprosić ją do tańca. Dzisiaj tego żałuję. Nie ma dnia, abym o niej nie myślał. Wszystko wypada mi z rąk. Nie wiem nawet, w jakim mieście ona mieszka. Pomóż mi, redakcjo, jak ją odnaleźć.

Grzegorz

OD REDAKCJI: Otrzymaliśmy nie tylko te trzy rozpaczliwe listy, podobne przychodzą codziennie. I wtedy mówimy do siebie: „Pakuj, dzielny redaktorze, swój neseser i jedź szukać ukochanej Ewy. Stań na rynku wybranego miasta i krzyknij: «hop, hop, Ewo! – wychyl się z okienka – przyjeżdżam pozdrowić cię od zakochanego Grzegorza»".

Czy Wy przypadkiem nas nie przeceniacie? Jak mamy odnaleźć tych wszystkich anonimowych adresatów, których pokochaliście: w pociągu, tramwaju, na plaży lub zimowisku? A może Czytelnicy znają takie sposoby? – to podpowiedzcie tym zrozpaczonym.

MARIA MARASEK

Dyrekcja Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśniczu, nr kodu 32-720, woj. Tarnów, tel. nr 4 ogłasza zapisy na rok szkolny 1981/82 na działy ceramiki artystycznej, tkactwa artystycznego i sztukatorstwa.

Przyjmowani będą absolwenci po 8-klasowej szkole podstawowej w wieku 15–17 lat, na podstawie egzaminu wstępnego z uzdolnień artystycznych. Okres nauki – 5 lat. Internat na miejscu.

Uczniowie uzdolnieni otrzymują stypendium. Ukończenie liceum daje prawo wstępu na wyższe uczelnie.

K-22

Śmierdząca sprawa (2)

- CZY POMIDOR LUBI WODĘ SODOWĄ?
- GOSPODARSTWO ROLNE PRZYSZŁOŚCI: BEZ GRAMA WĘGLA I BENZYNY

Prawdę powiedziawszy instalacja wytwórni biogazu nie robi zbyt imponującego wrażenia. Skrzętnie jednak ukrywam tę opinię przed inż. Szemrajem i dr. Adamem Markiem. Dla nich to dziecko wychuchane, wypieszczone, najukochańsze. Najciekawsza jest dość duża komora fermentacyjna, może nie tyle ze względu na zawartość, wypełniają ją odchody z fermy krów w Nowym Modlinie, co z powodu procesów, jakie się w niej dokonują. Bo jak to właściwie się dzieje, że gnojowica przekształca się w wartościowy gaz? Inż. Szemraj jest na posterunku i natychmiast spieszy z wyjaśnieniami.

– Są trzy fazy przetwarzania biomasy. Pierwsza, cechująca się dość charakterystycznym zapachem, to gnicie, powiązane z wydalaniem się siarkowodoru. W drugiej pojawia się dwutlenek węgla, trzecia – metanowa – to okres wydzielania się biogazu – mieszaniny metanu – 85 proc. i dwutlenku węgla – 15 proc.

W trzeciej fazie beztlenowe bakterie są najbardziej pracowite. Ale aby raźno zabrały się do swojego zadania, aby w ogóle pojawiły się w komorze fermentacyjnej, trzeba stworzyć im odpowiednie warunki. Darują mi Czytelnicy, jeśli nie będę wchodzić w dość zawiłe rozważania i powiem tylko, że aby beztlenowce zagościły w biomasie, musi ona charakteryzować się właściwą proporcją węgla i azotu oraz odpowiednimi właściwościami chemicznymi.

– Nie zdarza się – chwali się inż. Szemraj – abyśmy mieli jakieś kłopoty z procesem fermentacji. Potrafimy go wywołać i nim sterować. To duże osiągnięcie. Ale jak zapewnić to samo w masowo budowanych instalacjach; jak je skonstruować, aby były przydatne dla każdego – dla dużej fermy hodowlanej lub całej wsi, a także dla indywidualnego gospodarstwa. Potrzeba nam kilka typów wytwórni. I nad tym pracujemy.

Kim są właściwie niewidoczni dla oka pracowici pomocnicy człowieka? W sumie nasza wiedza o beztlenowcach jest zadziwiająco szczupła, fragmentaryczna. Wiemy, że są w różnych substancjach biomasy, przez długi czas przebywają w uśpieniu. Skąd się biorą, jakie są ich właściwości w tym stanie – nie wiadomo. Ożywia je wzrost temperatury, pobudza do aktywności, do szybkiego zwiększania liczebności, żarłoczności. Nie korzystają z tlenu – a więc nie zachodzi w nich proces spalania – czyli nie zużywają energii, lecz ją w postaci gazu wydzielają. I ta niezwykła cecha skłania człowieka do zaprzęgnięcia ich do pracy. Ale żeby zabrały się do niej, trzeba je zachęcić. Biczem nadzorcy jest temperatura – im wyższa, z tym większym zapałem pracują. Kapryszą jednak, bowiem „bakteryjni robotnicy" też dzielą się na kilka grup. Najprostsze – beztlenowce psychrofilne – są skłonne wytwarzać biogaz już w temperaturze 3–5,2°C. Pracują jednak niezbyt wydajnie i powoli. Szybciej pracują beztlenowce mezofilne. Mają jednak wyższe wymagania. Najlepiej czują się w temp. 27°C–33,8°C i wtedy już po 26 dniach są w stanie w ciągu jednej doby przetworzyć 1 m³ biomasy na 0,5 m³ biogazu. Arystokracją wśród beztlenowców – kończy nieco przydługi wykład inż. Szemraj – są bakterie termofilne. Po 10 dniach w komorze podgrzewanej do temperatury 52–57°C ogarnia je prawdziwy szał pracy – przez dobę są zdolne uwolnić z 1 m³ biomasy – aż 2,5 do 6,5 m³ gazu.

Na razie w Nowym Modlinie, a następnie w Przyborowie i 15 innych badawczych wytwórniach – załogę stanowią i stanowić będą bakterie mezofilne. Przyszłość należy jednak do najbardziej pracowitych – termofilnych. Gdy uda się nam zapobiec utracie naturalnego ciepła biomasy i opracuje się skuteczną izolację termiczną wytwórni, wydatek energii potrzebny do podgrzania komory nie będzie zbyt duży.

Dr Adam Marek ze starannie maskowanym zniecierpliwieniem słucha tych wyjaśnień. Dla niego to sprawy znane, banalne. Dużo chętniej porozmawiałby na temat drugiego punktu planu badań ośrodka, zapisanego w rządowym programie PR-8. A jest o czym mówić. Projekt wyposażenia jednego gospodarstwa indywidualnego w instalację biogazową zasilaną z niekonwencjonalnych źródeł energii jest zachęcający. Będzie generalną próbą wytwórni. Gaz z niej zasili silniki maszyn do suszenia ziarna i agregaty do ogrzewania szklarni, napędu różnych urządzeń gospodarczych traktorów, kombajnów, być może także Fiata 126p. Słowem będzie to gospodarstwo nieżużywające ani grama węgla lub benzyny. Pełna samowystarczalność, dzięki... odchodom 6 do 15 krów. Brzmi to fantastycznie. Ale dr Marek nie zostawia czasu na zdumienie.

– Nie koniec na tym – uzupełnia – wytwórnia nie będzie zużywać żadnego tradycyjnego paliwa. Podgrzewanie biomasy nie będzie wymagało też spalania biogazu. Wszystko załatwi wiatr, woda, słońce. Eksperymentalne gospodarstwo wyposaży się w kolektory słoneczne, w małą elektrownię wodną i agregat prądotwórczy napędzany siłą wiatru. W zależności od pogody przejmować one będą funkcję dostawcy energii dla wytwórni biogazowej.

– Trochę potrwa – wtrąca inż. Chmielewski – zanim będziemy mogli zaprosić do zwiedzania tego gospodarstwa. Sam wybór gospodarstwa, które spełni wszystkie warunki do założenia planowanych urządzeń, nastręcza sporo trudności. Nie zabraknie też innych kłopotów.

– Musimy się spieszyć – wraca do ulubionej myśli inż. Szemraj – na wsi już dziś brakuje węgla, ropa jest droga, są częste przerwy w dostawie prądu. A sama wieś dysponuje ogromnymi rezerwami energii. Jak najszybciej musimy do niego sięgnąć.

– Gdzie jesteśmy – pytam niepewnie – czy już w XXI wieku?

– Zdecydowanie jeszcze w XX, biogaz powinien się stać techniką najbliższej przyszłości.

Trójka szefów tarnowskiego ośrodka postanawia najwyraźniej rozbić w pył i w proch moje wyobrażenie o nadchodzących latach na wsi.

– Czy pomidor lubi wodę sodową? – pada nieoczekiwane pytanie.

Na stół wędruje kolorowy rysunek: krówki idą do obory, tam robią co trzeba, to co trzeba idzie do wytwórni gazu, i mamy biogaz dzięki dzielnym, choć lubiącym ciepło beztlenowcom. To już znam.

Co ma do tego pomidor? Otóż ma. Jeśli biogaz „przemyjemy" wodą, otrzymamy – jako że jest w nim trochę dwutlenku węgla – wodę sodową. Gdy będziemy w słoneczny dzień polewać nią warzywa, zrewanżują się szybszym wzrostem. A jeśli rosnąć będą na glebie wzbogaconej nawozami uzyskanymi z biomasy – będą dorodniejsze i smaczniejsze. Gdyby jeszcze część dwutlenku węgla wtłoczyć do powietrza w szklarni, zamieniając ją w coś w rodzaju „komory gazowej", rozwój roślin ulegnie dalszemu przyśpieszeniu. Końcowy efekt tych zabiegów – to w sumie skrócenie czasu wzrostu roślin o 30 proc. I zapewniono mnie jeszcze, że całe to dość zdumiewające postępowanie wcale nie zaszkodzi zdrowiu smakoszy sałatek z pomidorów i bukietów z jarzyn. Przeciwnie, dostaną dania o najwyższym stopniu czystości i doskonałym smaku.

Z niemałym zawrotem głowy opuściłem niepozorne baraczki OZ OBP TOR (ach, ten skrót!) przy ulicy Spokojnej na przedmieściach Tarnowa. Z pobliskiego gospodarstwa dochodziło porykiwanie krów, kwik świń – ratunek na energetyczne kłopoty – głośno domagał się posiłku. Czy to, co usłyszałem od trójki tarnowskich inżynierów, szybko stanie się rzeczywistością. Niech mi darują gościnni gospodarze może przesadną ostrożność – ich opowieść była jednak dla mnie wycieczką w XXI stulecie. Chociaż... lepiej nie zapeszać!

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI
Rys. **Marek Trojanowski**

KORESPONDENCJA WŁASNA Z ZAKOPANEGO

JAKA JESTEŚ SPARTAKIADO?

Zimowe spartakiady młodzieży mają już swoją tradycję. Rozgrywane od paru lat zdobyły sobie wielu przyjaciół, ale również sporą grupę oponentów. Jedni i drudzy wyłuszczają własne racje, chwalą albo krytykują sens bytu zawodów. Ci pierwsi, mówiący o spartakiadach pochlebnie, twierdzą, że są one jedynym klarownym obecnie przeglądem zaplecza krajowej czołówki, sitem eliminacyjnym przed dalszym szkoleniem ewentualnych wybrańców. Ten argument jest właściwie nie do odparcia. Również trudno podważyć fakt, że tego typu impreza w jakimś stopniu mobilizuje zawodników, ich trenerów, działaczy. Bo nie ulega przecież wątpliwości, że każde zwycięstwo ma swoją wymowę. Prowadzona klasyfikacja szkół, klubów i województw pozwala też na wyłonienie i uhonorowanie rejonów dobrych, stwarza okazję do wskazania palcem słabeuszy.

I w tym momencie dochodzimy do pewnych paradoksów, czyli argumentów używanych przez przeciwników spartakiad. Obserwując obecną, zbliżającą się już do końca zimową imprezę, nie możemy nie zgodzić się z logicznym rozumowaniem krytykujących opisywane zawody. Dotyczy to przede wszystkim sprawy takiej, jak przypadkowe uczestnictwo w spartakiadzie, inaczej mówiąc delegowanie przez niektóre województwa reprezentantów nie mogących pochwalić się nawet średnim poziomem wyszkolenia. Obok znakomicie wytrenowanych łyżwiarzy, biathlonistów, narciarzy i saneczkarzy (o tych napiszemy w oddzielnej korespondencji) można zobaczyć i raczkujących dopiero w sportowym „rzemiośle". Zgubne w skutkach punktowania powodują, że górę bierze hasło na ilość, a nie na jakość. Znany jest przecież nie aż tak dawny wypadek, że dopiero tuż przed imprezą i niemal na siłę tworzono w danym rejonie ekipę saneczkarzy z... judoków. Roli głównej nie odgrywali, ale statystyka punktowa dla zespołu (czytaj: działaczy) konkretnego województwa wyglądała okazalej. Jakoś nikt dotąd nie zastanowił się (albo zastanowił i dla źle pojętego lokalnego patriotyzmu przeszedł do porządku dziennego), ile szkody wyrządza się samym zawodnikom. Pomijając już aspekty moralne sprawy, trzeba dostrzec, że przymusowe „przesiedlanie" na nieznaną sportowcom dyscyplinę, chociażby w tempie ekspresowym, odbywało się kosztem zajęć szkolnych. Nie mówiąc już o kosztach finansowych. Dodatkowe oderwanie od nauki dziewcząt i chłopców nastąpiło również w momencie samego wyjazdu do Zakopanego czy Nowego Targu.

Prawdę powiedziawszy spartakiada nie stanowi punktu docelowego dla nikogo. Ci najlepsi jej uczestnicy to przecież ścisła krajowa czołówka, która nawet przy minimalnym wysiłku łatwo rozprawia się z pozostałymi, słabszymi o klasę konkurentami. Słabeusze zaś wiedzą, że chociażby ze skóry wychodzili – potentatom, dysponującym na co dzień sprzętem najwyższej jakości, nie zagrożą. Motywacji do rywalizacji, w sporcie trudno o takowe, będąc wcześniej przekonanym o własnej porażce lub sukcesie, nie posiada więc większość aktorów spartakiadowych spektakli.

Czy w tej sytuacji nie lepiej byłoby odstąpić od tradycji i zamiast tak ogromnej imprezy nie organizować oddzielnych krajowych mistrzostw dla juniorów i juniorów młodszych w poszczególnych dyscyplinach? Przy zaostrzonych kryteriach udziału w małych i niezależnych od siebie mistrzostwach nie dochodziłoby do tylu negatywnych zjawisk, do sportowej fikcji. Przekonali się o tym już dawno nasi zachodni sąsiedzi, którzy właśnie taki system wyłaniania czołówki zastosowali u siebie. Nie zrezygnowali i z potężnych spartakiad. Ale organizują je zaledwie co cztery lata, z udziałem czołówki corocznych mistrzostw konkretnych dyscyplin. Enerdowskie spartakiady mają zatem charakter... ogólnokrajowych igrzysk, dostępnych tylko dla najlepszych. Efekty tego systemu są widoczne.

Koszty naszych spartakiad, o czym raczej niechętnie mówi się na prasowych konferencjach, są również niebagatelne. Dodając do tego wydatki związane z organizacją zgrupowań (każde wystawiające ekipę województwo ma ambicję je przeprowadzić) otrzymujemy sumy, za które można by zbudować parę brakujących tak u nas przyszkolnych hal i boisk.

Sądzimy więc, że ludzie krytykujący sens istnienia rozbudowanej machiny spartakiadowej mają również trafne spostrzeżenia. Kto wie, czy nie warte głębszej analizy.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **Jacek Łopuszyński**

WĘŻE

W LEGENDACH I WIERZENIACH LUDOWYCH

Zbierałem kiedyś borówki w Beskidzie Śląskim, gdy podszedł do mnie stary góral ostrzegając przed żmijami:

– A gdyby pana zaatakowała, to niech pan ucieka do góry, bo w przeciwnym wypadku żmija chwyta ogon w pysk i jak obręcz toczy się na dół bez trudu, doścignając najszybszego biegacza!

Widząc, że góral schodzi właśnie z góry zapytałem go z uśmiechem, czy jemu nie grozi to niebezpieczeństwo. Ten rozglądając się na wszystkie strony zniżył głos i prawie szeptem mnie poinformował:

– Mam w woreczku powieszonym na szyi najlepszą przeciwko nim ochronę – skórkę żmii. Ale biada mi, gdyby żmija to usłyszała. Znalazłbym się wtedy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, bowiem węże mszczą się za swych zabitych braci...

Przemierzając różne szlaki natknąłem się na wiele podobnych wierzeń dotyczących gadów, na ogół takich, że gdyby węże mogły to usłyszeć i zrozumieć, to byłby to koniec gadziego rodu. Węże by po prostu... popękały ze śmiechu.

W jaki sposób powstają legendy i wierzenia? Może nieuczciwi pasterze wypijali mleko przypisując winę niewinnym wężom? Może ktoś ubarwił zasłyszane u babci historie? A może niektóre wierzenia ludowe odpowiadają prawdzie, bo oparte są o rzetelne obserwacje przyrody? Przyznam się, że sam byłem kiedyś autorem nieszkodliwego zabobonu, choć wątpię by ten się dłużej utrzymał. Wspólnie z przyjacielem przeprowadzałem obserwacje odruchów obronnych kumaków w okolicach Szydłowca, gdy do stawu podeszło kilku łobuziaków, amatorów niegodziwej rozrywki, polowania przy pomocy procy na godujące tam żaby zielone. Kolega widząc to bardzo się zdenerwował. Palnął im długi wykład o konieczności ochrony przyrody, o ważnej roli wszystkich zwierząt w danym środowisku, o równowadze i moralnym obowiązku człowieka zachowania niezniszczonej przyrody.

– Eee, ziaby, na co one komu? Drą się tylko po nocach i spać nie dadzą! – odpowiedział na to najstarszy z nich.

Wpadł mi wtedy do głowy pewien fortel:

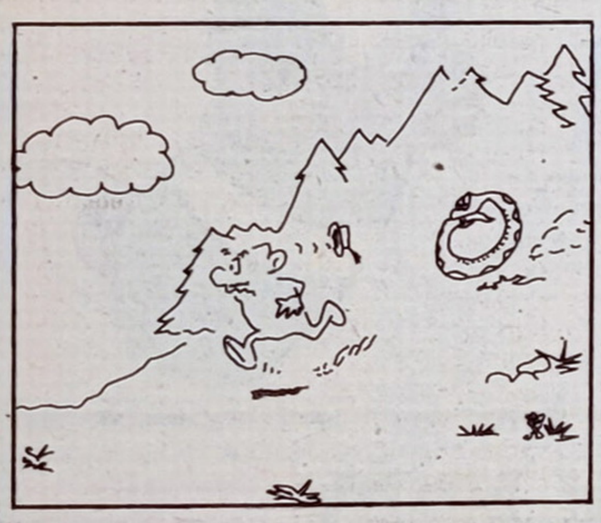

– A czy wiecie, że jak ktoś zabije żabę, to potem przez trzy dni ma pecha?

Chłopcy nie bardzo mi uwierzyli, ale na wszelki wypadek poszli sobie poszukać innego celu. A nuż by się sprawdziło...

Nowe pokolenie podchodzi do starych wierzeń ludowych z dużą dozą nieufności. Spory zasób wiadomości wynosimy ze szkoły; w prasie i telewizji znajdujemy wytłumaczenia różnych przyrodniczych zjawisk. Stare wierzenia, legendy, zabobony idą w niepamięć. Istnieją jednak naukowcy, którzy pragną zachować je dla potomności. Legendy te świadczą przecież o kulturze starych Słowian, mówią o sposobie traktowania zwierząt przez naszych przodków. Istnieją prace na ten temat, są one jednak niekompletne. Pomóżmy je uzupełnić!

Zwracamy się więc do Was!

Zapytajcie starszych, czy znają jakieś wierzenia, przysłowia czy legendy związane z gadami i płazami.

Opiszcie je jak najdokładniej z zaznaczeniem okolicy, z której pochodzą.

Podajcie wiek osób, które Wam to opowiadały, zapytajcie też czy osoby te wierzą w owe historie.

Dowiedzcie się od nich, czym się żywią jaszczurki, węże i żaby, jakie ich gatunki żyją w Polsce, czy może wykorzystuje je ktoś do celów leczniczych?

Przyślijcie te informacje na adres:

Koło Przyrodników Klubu Podwawelskiego, ul. Komandosów nr. 21, 30-334 Kraków.

Najciekawsze wypowiedzi omówione zostaną na łamach naszej gazety, a trzy z nich nagrodzone zostaną nagrodami rzeczowymi – niespodziankami.

JAN BAJGER
Rys. **autora**

Bogini Kali lubi kozy

KRZYSZTOF RENIK
PISZE Z NEPALU

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Agencja turystyczna – zamknięta. Tak samo, jak znajdujące się kilkadziesiąt metrów dalej biuro podróży. Spoglądam na zegarek: zawsze o tej porze urzędy były już otwarte. Trochę zaniepokojony ruszam w kierunku okazałego budynku Królewskich Nepalskich Linii Lotniczych. Nowoczesny biurowiec, stylizowany na tradycyjną architekturę nepalską, widać z daleka. Przed gmachem żywo rozprawia spora grupka obcokrajowców.

– No tak, będą świętować przez dwa tygodnie. Co za kraj! – dobrze odżywiony dżentelmen o różowej twarzy i płomiennych włosach jest bardzo zirytowany.

– Żeby choć główne urzędy były otwarte.

– Ech, po co? Jak święto to i odpoczynek – młodzian w luźnej, białej koszuli i ściągniętych sznurkiem, przewiewnych spodniach nie podziela podniecenia reszty zgromadzonych. Na drzwiach wisi wyjaśnienie „Z okazji święta Dasain tutejsze biuro będzie zamknięte w dniach... Sprawy bieżące będą załatwiane w godzinach...". Oj mało tych godzin dla spraw bieżących, bardzo mało. A całość świątecznego okresu ma trwać rzeczywiście blisko dwa tygodnie!

Zaczęły upływać kolejne dni świątecznego rozgardiaszu. Sceną większości rytualnych obrzędów były ulice i place Kathmandu, spełniające niejednokrotnie rolę świątyń i miejsc kultu. Uliczne mrowie zaaferowane zwykle handlem i politycznymi plotkami – wszak każdy Azjata to kupiec i polityk – ustąpiło teraz miejsca tłumom żyjącym wydarzeniami religijnymi i świątecznymi. Czas codzienności został zawieszony. Nawet czarne napisy na murach, te popierające nepalską monarchię, i te opowiadające się przeciw niej, przestały budzić emocje. Ludzie oddali się bez reszty świętowaniu.

Ulicami centrum miasta wędrowały barwne korowody. Towarzyszyły im muzyka małych bębenków i pełen ekspresji śpiew, przechodzący niekiedy w recytację. W korowodach – procesjach niesiono obrzędowe pieczywo, kwiaty i małe, gliniane dzbanuszki z ofiarami. Na placach przed świątyniami trwały rytualne tańce. Tancerze ubrani w bajecznie kolorowe stroje przedstawiali sceny i zdarzenia z hinduskiej mitologii. Maski, czasami zabawne, wręcz humorystyczne, kiedy indziej groźne i przerażające pozwalały zidentyfikować poszczególne postacie. Hinduska mitologia jest niezwykle rozbudowana i złożona. Ale każda postać ma swoje ustalone tradycją wyobrażenia, swój znany wszystkim hinduistom obraz, pod którym jest przedstawiona. I między innymi właśnie maski noszące wiele „znaków szczególnych" umożliwiają rozpoznanie występujących w opowieściach i przekazach postaci.

Przed licznymi w Kathmandu świątyniami gromadziły się tłumy ludzi. Stojąc w długiej kolejce wierni hinduiści czekali, by w ich mrocznych wnętrzach złożyć świąteczną ofiarę. Pośród zapachu starych manuskryptów, w lekkiej mgiełce dymiących pachnideł zbliżali się do kapłana, który miał naznaczyć ich czoła rytualnym malunkiem. Kiedy wychodzili ponownie na ulice wypełzała za nimi delikatna woń kadzideł.

Na rozległym terenie parku, w którym rokrocznie odbywają się uroczyste parady gromadzono stada kóz. Z każdym dniem było ich więcej. Okoliczni wieśniacy przywozili je wynajętymi ciężarówkami, okazyjnie zatrzymanymi autobusami, pędzili drogami i ścieżkami wiodącymi do Kathmandu. Rytualna rzeź kóz to kulminacyjny moment święta Dasain, zwanego inaczej Durga Puja. Święta zwycięstwa dobra i cnoty nad złem i nieprawością,

Zabudowania kompleksu świątynnego w Kathmandu

zwycięstwa, które dokonało się dzięki interwencji bogini Durga, noszącej także imię Kali.

Czym jest święto sławiące boginię Kali? Tak jak większość obrządków hinduistycznych swój początek wywodzi z wielkiego hinduskiego eposu – Ramajany. To właśnie Ramajana zawiera opis świata nękanego przez zło, w którym dobro musiało ciągle walczyć o należne mu miejsce. Po stronie dobra byli bogowie, po stronie zła – Demony. Aż wreszcie doszło do walki ostatecznej. Dzięki bogini Kali dobro zwyciężyło. Świat i ludzie zostali uwolnieni od niechcianych i niebezpiecznych Demonów. Teraz co roku przypominają za pomocą obrzędów i uroczystości legendarne wydarzenia, i cieszą się ze zwycięstwa dobra.

Świąteczny nastrój, radość i zadowolenie udziela się szybko. Po kilku dniach prawie zapomniałem, że mój wyjazd ulega niezaplanowanemu opóźnieniu. Świąteczne Kathmandu potęguje w jakiś zupełnie niezrozumiały sposób poczucie swojskości, które ogarnia każdego, kto przybywa do stolicy Nepalu. Któregoś dnia poczułem się już tak bardzo zadomowiony, że postanowiłem wejść do jednej ze świątyń dostępnej tylko dla Nepalczyków. W swojej naiwności myślałem, że idąc w tłumie uda mi się zmylić czujność nepalskich żołnierzy, którzy pełnili w okresie świątecznym funkcje strażników. W długiej kolejce przyglądałem się czekającym. Cóż za rozmaitość ludzkich typów, ubiorów, sposobów zachowań! Nie darmo uważa się, że Nepal to ojczyzna wielu grup etnicznych. Z okazji święta do stolicy przybyli ludzie z różnych stron kraju. Wspaniały przegląd intrygującej mozaiki.

Tłum przed świątynią podczas święta Dasain

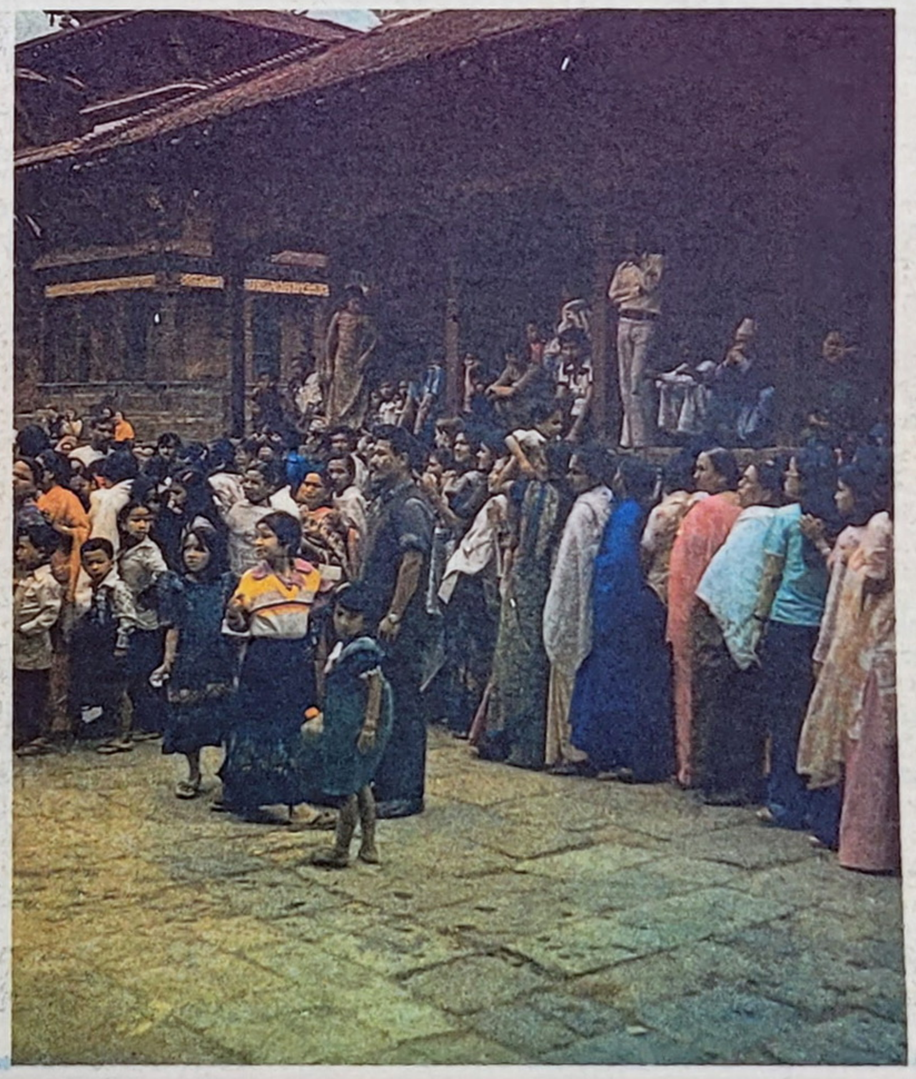

– Przepraszam, tylko dla Nepalczyków – mówi stanowczo młody żołnierz zatrzymując mnie przed wejściem do świątyni. Trudno mieć zresztą do niego żal. Jestem cudzoziemcem i nie ma powodu bym widział wszystko. Nepalczycy i tak bardzo tolerancyjnie traktują obcokrajowców podpatrujących ich życie i obyczaje. Nie zawsze jednak spotykają się z wzajemnością ze strony przyjezdnych. Ze skruchą muszę przyznać, że po przeczytaniu informacji o zamknięciu wszystkich urzędów na okres blisko dwóch tygodni nie najcieplej pomyślałem sobie o Nepalu i jego mieszkańcach. To prawda, że komplikowało to moje plany: wsiadłem do samolotu kilka dni później, ale gdzie tolerancja dla innych ludzi i innych kultur? Dla ludzi, którzy chcą i potrafią tak bardzo rozdzielić czas codzienności od czasu świątecznego.

Fot. **autora**

Czekajcie, ja wam jeszcze pokażę!

GWIAZDOZBIÓR

Ilekroć na ekranie telewizora pojawia się ta sympatyczna para, we wszystkich mieszkaniach wybuchają salwy śmiechu. I trwają przez kilka minut, aż do końca filmu. Serial „Wilk i zając" lub jak kto woli „Nu, pogodi!" – co może oznaczać „Czekaj no, ty!" albo „Ja ci pokażę!" – cieszy się niesłabnącym powodzeniem zarówno w Związku Radzieckim jak i u nas (choć nasza telewizja zostawia sobie odcinki tej serii na specjalne okazje).

Kiedy w 1969 roku w wytwórni „Sojuzmultfilm" powstał pierwszy odcinek, autorzy zastrzegli się, że dalszego ciągu nie będzie. Lecz Wilk i Zając tak spodobali się widzom, że do wytwórni zaczęły nadchodzić ich prośby o nakręcenie następnych odcinków – i to nawet z pomysłami dalszych przygód! Do dzisiaj powstało więc już 13 odcinków serialu, które nie tylko nie zaspokoiły apetytu widowni – ale sprawiły, że chcielibyśmy, aby Wilk mógł spotykać się z Zającem jeszcze częściej. Stali się nierozłączną parą lubianą tak, jak postacie z kreskówek Disney'a.

Nad serialem pracuje oczywiście cały zespół, lecz jego „duszą" jest 54-letni Wiaczesław Kotionoczkin. Pracę w wytwórni „Sojuzmultfilm" zaczął jeszcze pod koniec lat 40-tych. Współpracował z wieloma reżyserami, rysując tysiące obrazków – kadrów, które ożywały potem w ich filmach. Jako reżyser zadebiutował w 1962 r. i nim wymyślił Zająca i Wilka nakręcił kilka kreskówek, które zyskały uznanie młodych widzów.

Film „Nu, pogodi!" nie od razu miał obecny kształt. Pierwsze odcinki nie były zbyt oryginalne, reżyser przenosił do nich często pomysły z innych filmów. Nie przestrzegał też zasady jedności miejsca akcji, przenosząc ją w jednym odcinku wielokrotnie. Uważał bowiem, że widzowie będą nudzili się, gdy wszystko będzie rozgrywało się w tej samej scenerii. Mniej też uwagi poświęcał postaciom drugoplanowym.

Dopiero po kilku latach pracy nad serialem Kotionoczkin zaczął ograniczać akcję każdego odcinka do jednego miejsca. Okazało się, że nawet w dobrze nam znanym parku, sklepie, na stadionie, czy w muzeum jest dość rekwizytów, które mógł wykorzystać do zbudowania zabawnych sytuacji. W odcinku 11 na przykład Wilk ściga Zająca po cyrku – z jego areną, widownią, stajniami. W odcinku 12 pogoń przenosi się do sal muezum historycznego, gdzie zwiedzający muszą zakładać śliskie filcowe kapcie i gdzie eksponatów pilnuje drzemiący hipopotam w zielonym mundurze. Bardziej wyszukane i zabawne stały się też poszczególne tricki, a staranniej charakteryzowane postacie drugoplanowe są często nie mniej śmieszne, niż główni bohaterowie. I tak pojawił się kot-fakir cyrkowy, czarnoskóry zając-bokser i pies-sędzia ringowy...

Humor filmów Kotionoczkina wynika nie tyle z dramatycznych sytuacji, w jakich znajdują się wciąż Wilk i Zając – co z ich charakterów. Pierwszy: duży, silny i zawzięty, lecz prostak przypomina „ciemnego typa", drugi: słaby i wrażliwy, przewyższa jednak swego prześladowcę sprytem i pomysłowością. Widzowie pierwszych odcinków drżeli wciąż o los małego Zająca, lecz z czasem upewnili się, że ten długouchy malec zawsze da sobie radę, wychodząc bez szwanku z największych opresji. Zaczęło im być nawet żal naiwnego Wilka, który za każdym razem zostaje wystrychnięty na dudka. Teraz wszyscy traktują już ich niekończącą się rywalizację jedynie jako zabawę, świadomi, że obaj bohaterowie mają właściwie równe szanse i że nie mogliby bez siebie żyć. Zdarza się przecież, że Zając ratuje swojego przeciwnika – jak choćby wtedy, gdy ten znalazł się w klatce z rozwścieczonym lwem. Siedzieli potem przez chwilę obok siebie jak dwaj serdeczni przyjaciele. Nim znów nie rozpoczęła się pogoń i nie padły słowa: „Nu, Zajac, pogodi!".

I choć reżyser w dalszym ciągu stara sie coś jeszcze zmienić i udoskonalić, jego serial jest już właściwie ukształtowany raz na zawsze. Zmieniać w nim może jedynie sytuacje – natomiast sam schemat fabularny kolejnych filmów i sylwetki bohaterów pozostać muszą te same. Ale Wiaczesław Kotionoczkin nie rezygnuje z poszukiwania coraz śmieszniejszych pomysłów, każdym odcinkiem grożąc nam jakby: „Czekajcie, ja wam jeszcze pokażę, jak można się śmiać!".

Oprac. **A.KONSTANTYNOWICZ**
Fot. **archiwum**

A WIOSNA NAPRAWDĘ TUŻ, TUŻ...

DOM MODY świata młodych

Już w ubiegłym tygodniu nastrój mnie wiosenny ogarnął, ale tym razem – to już całkiem. Bo jak się wsłuchać dokładnie w wiatr, co za oknem wieje, to się okaże – że wiosna już naprawdę tuż, tuż, tylko patrzeć. Więc nie mogę tematyki wiosennej nie kontynuować.

Jak kto się przyjrzy zamieszczonemu obok zdjęciu, to – może się zdziwić. Że takie... mało wiośniane. Mało wiośniane?! To tylko pozór, naprawdę! No, niby ciuch na nim prezentowany mało jest efektowny, prawda, całkiem zwyczajny dres. Ale zauważcie, co robi dziewczyna w tym dresie! Widzicie – ona biegnie. A bieganie już całkiem sporo ma wspólnego ze zbliżającą się wiosną. Bo wiosna, to również taki czas sprzyjający... generalnym porządkom. Porządkom w szafie i na półce, ale również ze sobą. Spójrzcie proszę uważnie na siebie, jak wyglądacie u schyłku zimy! Cera szarozielona, włosy matowe i przyklepane od noszenia ciepłej czapki, sylwetka... co najmniej przygarbiona od spędzania popołudni i wieczorów przed telewizorem, że już nie wspomnę o fałdach tłuszczyku, które się niektórym pannom gdzieniegdzie w czasie ostatnich, mało ruchliwych, miesięcy, poodkładały. No, spójrzcie jeszcze raz! Jest to najwyższa pora, aby wziąć się w końcu ostro za siebie, zrobić ze sobą generalny porządek?! Wiosna się wszak szybkimi krokami zbliża, a wiosną każdy chce wyglądać ładnie. Kto nie chce, niech dalej nie czyta.

W tych generalnych porządkach, do których chciałabym Was namówić, dres (ewentualnie inny, podobny strój) odgrywa niebagatelną rolę. Bo polegają one w dużej mierze na zaaplikowaniu sobie sporej, codziennej dawki ruchu na świeżym powietrzu. Właśnie bieganie mam na myśli, grę w piłkę, grę w kometkę, zabawy ze skakanką... Mięśnie się od tego rozruszają, ruchy nabiorą sprężystości, zbyteczne wałeczki tłuszczu rozpłyną się w nicość, a cały organizm odpowiednio się dotleni. Głowa przestanie pobolewać, poranne wstawanie przestanie być męką i ogólne samopoczucie ulegnie zdecydowanemu polepszeniu. Oczywiście nic nie wolno robić nagle i wszelki ruch również trzeba sobie systematycznie dawkować. Bo jeśli osoba, która spędziła zimę w fotelu, fundnie sobie nagle, bez przygotowania, dwie godziny truchciku, to poczuje się jeszcze bardziej zmęczona i zniechęcona do życia niż była dotychczas. Zaczynać trzeba od seansów kilkuminutowych. A dawka docelowa – gdzieś za miesiąc, gdy już i na dworze cieplej się zrobi – to co najmniej godzina dziennie spędzana ruchliwie na świeżym powietrzu. Dziewczyna, która ma aspiracje w y g l ą d a n i a, musi ten czas (na bieganie, grę w piłkę itp.) jakoś wygospodarować!

Kolejna sprawa związana jest z jadłospisem. Na dwa jego punkty chcę zwrócić szczególną Waszą uwagę. Po pierwsze – mleko, po drugie – witaminy w naturalnej postaci czyli przede wszystkim warzywne surówki. Mleka trzeba wypijać co najmniej pół litra dziennie i to bez żadnego szemrania, że „nie lubię". W końcu nie musi to być słodkie mleko z kożuchem, ale kefir, jogurt czy jakieś mleczne koktajle, a także budynie, twarożki itp. Jeśli zaś chodzi o warzywa, to trzeba jeść – na surowo – wszystkie dostępne. Mieszając startą marchewkę z jabłkiem i drobno posiekaną cebulką, starty seler z jabłkiem i zieloną pietruszką, drobno pokrojony por ze śmietaną lub majonezem. Praktycznie wszystkie surowe warzywa można ze sobą łączyć w całkowicie dowolnych proporcjach. Eksperymentując w ten sposób (raz sałatkę doprawia się majonezem, kiedy indziej śmietaną, jeszcze innym razem skrapia kwaskiem cytrynowym) można codziennie jeść coś całkiem innego smakowo. Bo codziennie trzeba w siebie sporą porcję jakiejś warzywnej surówki wrzucić. A jaka będzie potem piękna cera!

I sprawa ostatnia, już czysto kosmetyczna. Włosom (po zimie, to każdym, ale szczególnie tym mającym skłonność do przetłuszczania się, do wypadania) doskonale zrobi kilka seansów polegających na ich płukaniu (po myciu) w naparze ziołowym. Najlepiej użyć jest gotowej mieszanki pn. Kapilosan, ale jak ktoś nie dostanie, może być napar z rumianku (dla włosów jaśniejszych) lub z kłącza tataraku (dla włosów ciemniejszych). Łamiące się paznokcie przestaną sprawiać kłopoty po kilkakrotnym ich wymoczeniu (przez 15–20 minut, np. co tydzień) w miseczce z ciepłą oliwą. Wysuszona cera nabierze elastyczności i jędrności jeśli się będzie wieczorem (po umyciu twarzy) wklepywało w nią delikatnie koniuszkami palców odrobinę kremu nawilżającego (np. kremu „Gracja", który przeznaczony jest specjalnie dla nastolatek, ale może być inny zwyczajny nawilżający).

I to by było tych najważniejszych namiarów na generalne ze sobą wiosenne porządki na tyle. Powodzenia!

RIUSZKA

W SPRAWIE „OTI-KONÓW"

W numerze „ŚM" z 5 lutego br. zamieściliśmy artykuł (oparty na materiale agencyjnym) pt. „Otikon – wrota do krainy dźwięku" dotyczący niedostatecznego wyposażenia uczniów Szkoły Podstawowej nr 226 – Instytutu Głuchoniemych w Warszawie – w aparaty słuchowe. Ponieważ w tekście znalazły się nieścisłości, dyrekcja Instytutu Głuchoniemych zwróciła się do nas o zamieszczenie następującego wyjaśnienia:

1. Instytut jest szkołą bazową dla wizytatora metodyka, zajmującego się placówkami dla dzieci z wadami słuchu i mowy, a nie dla wszystkich wizytatorów metodyki szkolnictwa specjalnego.

2. W sierpniu 1979 r. Ministerstwo Oświaty i Wychowania (a nie kuratorium) przekazało Instytutowi zestaw bezprzewodowy firmy „Otikon" dla 10 uczniów i nauczyciela. Zestaw ten może być wykorzystywany jedynie w połączeniu z kieszonkowymi aparatami słuchowymi „Otikon" typ P15P. Takie aparaty ma tylko dwóch uczniów w szkole, co nie oznacza, że inne dzieci pozbawione są aparatów w ogóle.

Na 148 uczniów w Instytucie 129 ma własne aparaty słuchowe – pozostałych 19 uczniów korzysta z aparatów wypożyczonych przez Instytut, na którego stanie są 24 aparaty indywidualne. Tak więc wszyscy uczniowie szkoły stale korzystają z indywidualnych aparatów słuchowych. I one mogłyby być wykorzystywane do zestawu bezprzewodowego, jednak przy zastosowaniu specjalnych pętli indukcyjnych, którymi – niestety – nie dysponujemy.

3. Nawet jeżeli dziecko głuche nie ma aparatu słuchowego – korzysta z lekcji, bo wypracowane przez ponad 160 lat metody pracy z dzieckiem głuchym umożliwiają mu naukę. Oczywiście, bezsporne jest duże znaczenie aparatów jako podstawowego środka dydaktycznego, podnoszącego wyniki nauczania.

4. Dodatkową trudność stanowi dotkliwy brak części zamiennych (sznurów, słuchawek, bateryjek, akumulatorów, ładowaczy itp.). Ten stan rzeczy spowodować może, że sprawne aparaty będą leżały w pudełkach, nie mogąc służyć dzieciom.

A więc, choć rzeczywista sytuacja w Szkole Podstawowej nr 226 – Instytucie Głuchoniemych nie jest aż tak dramatyczna jak to mogło wynikać z naszego artykułu, nie jest też dobra. W liście do redakcji „ŚM" dyrektor Instytutu Głuchoniemych – mgr Felicja Tutkaj pisała: „Idealem byłoby, gdyby wszystkie klasy wyposażone były w zestawy aparatury bezprzewodowej, a uczniowie w aparaty indywidualne typ P15P". **Życzyć możemy tylko by tak się stało, a „Otikony" (kieszonkowe!) otworzyły wszystkim niedosłyszącym dzieciom „wrota do krainy dźwięku". (mas)**

Dziś kolejna wypowiedź na temat początku wszechświata. „Amaic" opisuje doniosłe odkrycie, jakiego przypadkowo dokonali dwaj radioastronomowie – Arno Penzias i Robert Wilson. Odkrycie promieniowania reliktowego, nazwanego żartobliwie „fotonowym kisielem" jest dowodem, jakby świadectwem wielkiego wybuchu pramaterii skupionej w jednym miejscu wszechświata. O charakterze fizycznym tej materii nie mamy żadnego wyobrażenia, dopiero po jej wybuchu jesteśmy w stanie ją opisać, chociaż nie wszystko jest jeszcze jasne dla współczesnej nauki.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Znaczki TOMIKA otrzymują:

Andrzej Roszak, ul. Kasprowicza 11, 88-320 Strzelno; Krzysztof Robak, ul. Okrzei 2a/2, 41-803 Zabrze 3; Tomasz Dronka, ul. Mszczonowska 47/36, 96-100 Skierniewice; Jacek Nowicki, ul. Celestynowska 3b m 5, 04-754 Warszawa; Jarosław Renk, ul. Skarszewska 9/33, 83-200 Starogard Gdański; Marek Froń, al. Marcinkowskiego 13/23, 63-600 Kępno; Andrzej Żuk, Czeberaki, 08-205 Kornica, woj. bielsko-podlaskie; Stanisław Jan Dłuski, 38-220 Dębowiec 246; Darek Węgrzyn, ul. Niepodległości 7/10, 59-300 Lubin; Piotr Bożejewicz, Czerniakowo, 87-640 Steklin; Krystyna Ochotnicka, al. Krasińskiego 11c/7, 31-111 Kraków; Andrzej Kopeć, ul. Poległych 3, 42-431 Zawiercie.

Uwaga, kolega podpisujący się pseudonimem „Amaic" proszony jest o podanie adresu.

Wszystkim wyróżnionym składem serdeczne gratulacje. Znaczki wysłane zostaną pocztą.

W którą bądź stronę nieba nie wycelować antenę radioteleskopu odbierze on charakterystyczny radiowy szum. To syngalizuje swą obecność wszędobylskie promieniowanie reliktowe – pozostałość po wielkim wybuchu

FOTONOWY KISIEL CZYLI PROMIENIOWANIE RELIKTOWE

Promieniowanie reliktowe zostało odkryte przypadkowo. Na początku lat sześćdziesiątych amerykańska instytucja Bell Telephone Laboratories rozpoczęła szereg prac nad opracowaniem systemu łączności satelitarnej na falach o długości 7,5 cm. Dwóm radioastronomom, Arno Penziasowi i Robertowi Wilsonowi, polecono sprawdzić czy na tej częstotliwości nie występują jakieś zakłócenia i w przypadku wykrycia określić ich charakter.

Wyposażeni w bardzo czuły odbiornik i skonstruowaną przez siebie antenę obrotową przystąpili do pracy. Zaraz po uruchomieniu urządzenie odebrało sygnał naturalnego radioźródła. Uczeni początkowo sądzili, że natrafili na radioźródło punktowe, tzn. jakąś gwiazdę czy galaktykę gdyż wówczas sądzono, że tylko obiekty punktowe mogą być kosmicznymi źródłami zakłóceń radiowych. Okazało się jednak, że tego rodzaju zakłócenia odbierać można z dosłownie każdego punktu nieba, a żmudne i dokładne badanie aparatury nie wykazało żadnej usterki. Penzias i Wilson zrozumieli więc, że odkryli promieniowanie, które wypełnia cały wszechświat i pochodzi z niewiadomego dla nich źródła. Uczeni rozpoczęli badania, które wykazały, że przestrzenny rozkład promieniowania jest izotropowy (tzn. równomierny we wszystkich kierunkach), gęstość jego zaś wynosi ok. 400 kwantów na 1 cm^3. Tak więc na każdy atom materii w całym wszechświecie przypada 100 mln kwantów promieniowania reliktowego! Nic więc dziwnego, że otrzymało ono żartobliwą nazwę „fotonowy kisiel".

Wiemy, że wszechświat bez przerwy się rozszerza. Odwracając to zjawisko w myśli łatwo wywnioskujemy, że musiał istnieć moment, w którym cała materia wszechświata skupiała się w małej objętości, a więc gęstość jego była ogromnie duża. W trakcie rozszerzenia się wszechświata gęstość materii ulegała zmniejszeniu a długość fal kwantów promieniowania ulegała zwiększaniu. Kwanty promieniowania równocześnie stygną, gdyż im dłuższe są fale im odpowiadające tym ich temperatura jest niższa. Wiedząc, że energia współczesnego promieniowania centymetrowego odpowiada temperaturze ok. 3K można obliczyć („wiek" wszechświata szacuje się na ok. 10–15 miliardów lat), że 10 mld lat temu odpowiadało ono temperaturze 10 mld stopni. Promieniowanie reliktowe (szczątkowe) zawdzięcza więc swoją nazwę faktowi, że powstało niemal jednocześnie z naszym wszechświatem i jest jedynym „świadkiem" tego okresu.

Co dały kosmologom badania nad promieniowaniem reliktowym? Przede wszystkim potwierdziły słuszność teorii tzw. „gorącego wszechświata", sformułowanej w 1947 r. przez fizyka G.A. Gamowa. Michał Wasiljew w książce „Zagadki współczesnej nauki" przedstawia skrót „historii" wszechświata, który mógł powstać właśnie dzięki badaniom nad promieniowaniem.

Po sekundzie od powstania wszechświata materia posiada temperaturę 10 mld stopni i jest mieszaniną kwantów promieniowania reliktowego, elektronów, pozytonów, neutrin i antyneutrin, a jej gęstość wynosi ponad 1 t/cm^3. Promieniowanie od początku przeważa jednak nad materią – ilość jego kwantów jest mniej więcej 100 mln razy większa od ilości protonów i elektronów. Mija kolejne 100 sekund życia wszechświata. Gęstość materii i jej temperatura zmniejszają się. Znikają pozytony, neutrony zamieniają się w protony. Zaczynają tworzyć się pierwsze jądra helu absorbujące około 30 proc. wszystkich protonów. Powstaje pewna ilość nowych kwantów promieniowania, jest ich jednak tak mało, że praktycznie promieniowanie ilościowo się nie zmienia. Mija kilka milionów lat, temperatura materii spada do 2–3 tys. K. gęstość jest już zbliżona do dzisiejszej lecz silne zgęszczenia (galaktyki, gwiazdy) jeszcze nie mogą powstać. Przeszkadza w tym zbyt wielkie ciśnienie naszego promieniowania, z którego powodu również jądra helu i wodoru nie mogą połączyć się z elektronami w samodzielne atomy. W miarę upływu czasu powstają pierwsze zgęszczenia materii – protogwiazdy, które tak jak gwiazdy dzisiejsze – świecą. Wypromieniowane przez protogwiazdy wysokoenergetyczne kwanty znowu rozgrzewają materię i uniemożliwiają powstanie dalszych zgęszczeń.

Ostatecznie w skład zgęszczeń wchodzi zaledwie 5 proc. całej materii, pozostałość rozprasza się po całej objętości wszechświata. Promieniowanie reliktowe również ulega rozproszeniu. Właśnie dlatego większość materii wszechświata stanowi dziś tzw. gaz międzygwiazdowy składający się z 70 procent wodoru i 30 proc. helu o gęstości 1 atom na 1 m^3.

Minąwszy stadium protogwiazd wszechświat wkracza w fazę znaną nam dziś z obserwacji. Powstają galaktyki składające się z gwiazd; stopniowo powstają planety. Przynajmniej na jednej z nich rodzi się życie, które po pewnym czasie daje początek formom inteligentnym.

Za odkrycie promieniowania reliktowego A. Penzias i R. Wilson otrzymali w 1978 roku połowę Nagrody Nobla z dziedziny fizyki. Promienie reliktowe pozwoliło zajrzeć w przeszłość całego wszechświata stawiając równocześnie pytania dotyczące jego przyszłości. Odkrycie więc tych dwóch uczonych jest odkryciem o doniosłym znaczeniu.

Czy proces rozszerzania się wszechświata trwać będzie wiecznie czy też po pewnym czasie rozpocznie się jego kurczenie? Sądzę, że na odpowiedź nie będziemy czekać długo, bo jeżeli badania promieniowania reliktowego pozwoliły w ogóle to pytanie postawić, to z pewnością dalsze prace w tym kierunku pozwolą udzielić odpowiedzi.

„AMAIC"

P.S. W artykule Jerzego Kroppy „Zagadki Pulsarów" („ŚM" 117) znalazłem błąd. Anthony Hawisch otrzymał Nagrodę Nobla w roku 1974 a nie w 1968.

– Tak... – powiedział sobie – trzeba jak najszybciej przystąpić do remontu. Sezon za pasem!

DAR Z MORZA – UCIECZKA

W kolejnym liście od Johna Stevensa otrzymał Jack wiadomość, że z powodu pilnych spraw szyper nie będzie mógł przyjechać do Fish Creek, natomiast usilnie zaprasza go do Portu Świętego Jana. Podkreślił, że koszty podróży pokryje z wielką przyjemnością.

Jack nie widział żadnych możliwości zrealizowania owej podróży. Na razie dokładał wszystkich starań, by przyzwyczaić się do pracy w konserwiarni, a nawet polubić ją, jednak bezowocnie. To, co robił, nie pochłaniało jego zainteresowania. Łatwo się męczył. Uległ przygnębieniu. Nie mógł znaleźć wspólnego języka ze współtowarzyszami.

Jego samopoczucie pogarszał fakt, że zima nie jest przyjemnym sezonem na skalistym wybrzeżu. W tym roku była bardzo ostra i porządnie dawała się we znaki mieszkańcom Fish Creek. Gwałtowne sztormy uniemożliwiły wyjście na połowy. Obfite opady śnieżne pogrzebały domki, zasypały ścieżki.

– Oj, ciężko, ciężko będzie w tym roku – mówili starzy żeglarze.

– Nawet świeżego dorsza nam zabraknie. Znów przyjdzie łamać zęby na sztokfiszach. A jak ich nie stanie? – kręcili głowami stroskani widmem głodu.

Tylko Prigg zacierał ręce i z dobrodusznym uśmiechem patrzył na rosnące zaspy, na wzdęte morze i na ponure twarze ludzi.

„Syp, śnieżku, syp!" – myślał patrząc na duże, wirujące płatki. Widział w nich lecące z nieba dolary. Tej zimy księga kredytowa wypełni się nowymi kolumnami cyfr. Trzeba będzie podnieść ceny z powodu braku dowozu świeżego towaru. Z zadowoleniem pomyślał o pełnym magazynie, o dziesiątkach worków z cukrem, mąką, fasolą, kaszą.

W kącie składu Prigga stał duży, żelazny piec, otoczony ławami. Biła od niego rozleniwiająca fala ciepła.

Nie był to taki sobie zwykły piec. Był instytucją. Jego ciepło, jak magnes przyciągało zziębniętych żeglarzy. Bezrobotni, znudzeni, często zdesperowani głodem i chłodem własnej chałupy siadali tu, by się ogrzać i pogawędzić.

Zazwyczaj psioczyli na los, na pogodę, na rybę, która znikła diabli wiedzą gdzie. Wśród nich pojawił się starszy ekspedient, a z nim – gąsiorek, pachnący sośniną dżin oraz surową ostrą whisky.

Płacić? Nie trzeba. Wystarczy skinąć głową, palcem, mruknąć. – No, panie starszy, niech tam będzie!

Bulgotał złocisty czy biały płyn. Trunek parzył przełyk, po żołądku błogą falą rozchodziło się ciepło. Chandra szła w kąt. W głowach jaśniało. Oczy lśniły. Rozwiązywały się języki. Myśl leciała swobodniej, uwolniona od trosk, kłopotów, zmartwień.

Cóż tam groźby piekieł i nadzieje raju! Precz z drżącą jak świder, bolesną obawą o jutro! Rozpływały się obrazy pustych garnków, zimnego pieca, głodnej dziatwy.

Raz się żyje! Pij, bo nie wiesz, skąd przyszedłeś ani dokąd pójdziesz! Pij, bo z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Usłużna ręka – dolewała. Czujne oko – liczyło kieliszki. Pióro – zapisywało cyferki. Długi rosły. Prigg promieniał. Od pieca biła rozleniwiająca fala ciepła.

*

Na oślizłych skałach, u stóp urwiska coraz częściej pojawiały się postacie mieszkańców Fish Creek. Czyhali tam na przedmioty wyrzucane przez sztormowe fale.

Szlaki żeglugowe przechodzące przez Wielkie Ławice należą do najniebezpieczniejszych na Oceanie Atlantyckim.

Na Wielkich Ławicach panuje mgła, wicher i lód. Nad tym zatopionym w Atlantyku płaskowyżem spotykają się dwa prądy – ciepły Golfsztrom i zimny Labradorski. Stąd tumany nieprzeniknionej mgły, przez większą część roku zalegające te olbrzymie łowiska. Stąd niesione tak daleko na południe góry lodowe. Koszmarne biało-niebieskie zjawy nagle wyłaniające się z mgły tuż przed dziobami statków. Potężne, wielkości kilkupiętrowej kamienicy bryły lodu o konstrukcji skały miażdżą kil, płyty kadłuba. Rwą stal niczym papier, łamią wręgi* jak zapałki. Potężny frachtowiec idzie na dno jak podziurawiona blaszanka. Zapada się w otchłań z szybkością rzadko pozwalającą na ratunek.

Cdn.

* wręgi – części szkieletu kadłuba statku

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

KLEKS w Krainie zbuntowanych luster

15

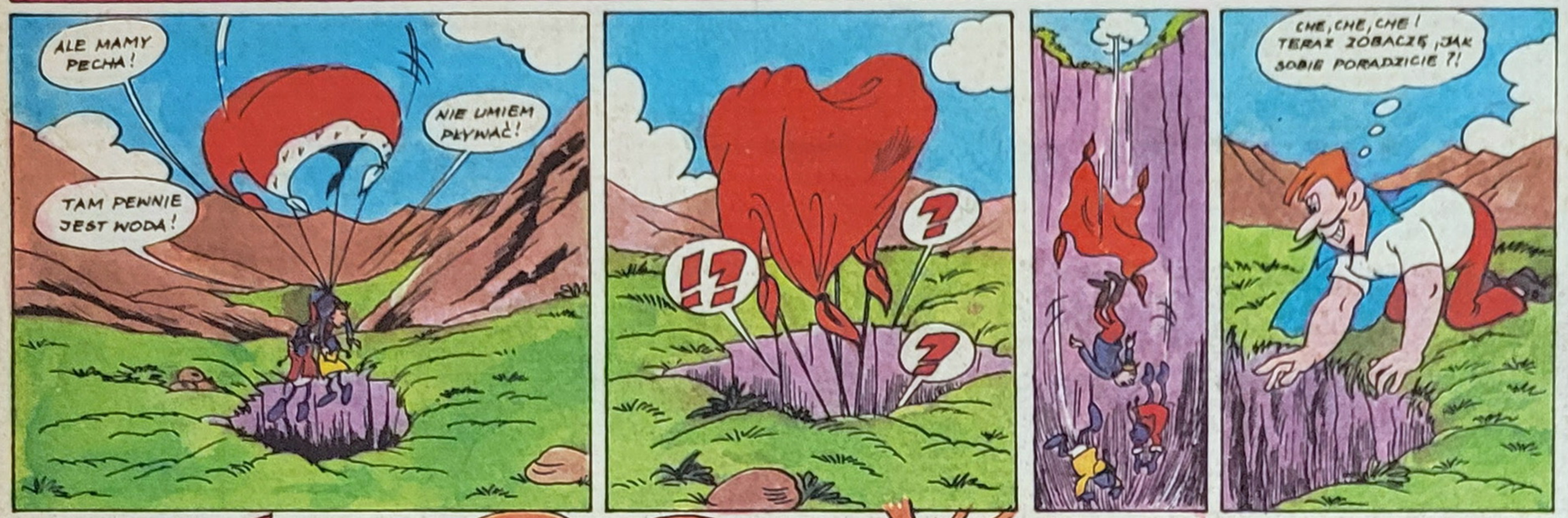

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556
UKAZUJEMY SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEKS 81-06-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBPXV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Małgorzata Was

Zam. 1094/G L-96
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY_ 00-561

19

Scarlet z niedowierzaniem patrzyła to na sapiącego męża, to na uśmiechającego się ironicznie Johna.

– Ponieważ mam już dosyć podobnych metod prowadzenia interesu, postanowiłem wycofać swoje nazwisko z firmy. Zrywam również stosunki rodzinne. Możecie uważać, że nie istnieję. Gdy Harry przyjdzie do siebie, racz mu zakomunikować, że jutro rano o godzinie dziewiątej będę w biurze i będę tam przebywał codziennie aż do zakończenia wszystkich formalności.

Wstał, ukłonił się i wyszedł.

John Stevens przez cały miesiąc przebywał w biurach firmy. Z Harry'm rozmawiał wyłącznie na tematy dotyczące interesów. Spotykając pana Swindona kłaniał się mu z wyszukaną uprzejmością, obdarzając go najbardziej czarującym uśmiechem. Doprowadzał go tym do pasji.

Akcjonariusze postanowili na tajnym zebraniu wykupić udział Johna Stevensa, by nie dopuścić do spółki nowych ludzi. Tego rodzaju transakcja wymagała mobilizacji dużych środków finansowych. Wycofanie gotówki z obrotu obniżyło ich dochody. John zyskał nowy, zwarty zastęp wrogów.

– Co pan zrobi z gotówką, panie Stevens? – zapytał go jeden z byłych wspólników.

– Po prostu wydam – brzmiała odpowiedź. – Prawdopodobnie wybiorę się w podróż dookoła świata.

W rzeczywistości zamierzał kupić jeden lub dwa trawlery myśliwskie i z początkiem sezonu foczego iść na Daleką Północ. Ba! Wymarzona wyprawa na foki nie zapowiadała się prosto. Od wielu, wielu lat z Portu Świętego Jana corocznie wychodziły dwie wielkie flotylle łowców fok. Dwie firmy-giganty monopolizowały ten intratny przemysł. Zaciekle rywalizowały pomiędzy sobą. Walczyły o łup nie przebierając w środkach. W jednym tylko zgoda była idealna. Każdy nie należący do ich flotylli statek myśliwski był narażony na wszystkie szykany, włącznie ze zbrojnym abordażem. Chodziło o niedopuszczenie konkurencji. Niejedną krwawą tajemnicę kryły w sobie dalekie, pustynne obszary pól lodowych.

Nie zawsze przyczyną tragedii był zwał lodowy, sztorm czy zmiażdżenie przez napór lodowych płyt.

John pojechał do Bostonu. Tam po długich poszukiwaniach i pertraktacjach nabył trawler myśliwski „Robust".

Statek budowany w 1923 roku wymagał remontu. John Stevens po dokładnych oględzinach stwierdził, że „Robust" ma wyjątkowo silne maszyny jak na swój tonaż i jest zbudowany z doskonałego materiału.

Zaangażował prowizoryczną załogę i odprowadził statek do Port-au-Port. Drugi trawler myśliwski kupił w Porcie Świętego Jana.

Właściciel statku przy pertraktacjach postawił Stevensowi dziwny warunek.

– Musi pan zabrać na wyprawę mojego syna. Suszy mi o to głowę od roku. Obiecałem mu, i za miesiąc przyjeżdża tu z Anglii, gdzie studiuje w Eton.

Stevens wzruszył ramionami.

– Jeśli pan sobie życzy, proszę bardzo.

Dobili targu.

Stan trawlera „Northern Hunter" przedstawiał wiele do życzenia. W nieumiejętnych rękach, bez odpowiedniej konserwacji wyglądał jak gdyby lada dzień miał iść na złom.

Doświadczone oczy Stevensa pod warstwą brudu i rdzy rozpoznały jednak statek o pięknych, rzadko spotykanych liniach. Należało tylko doprowadzić go do porządku. Nowy właściciel z zadowoleniem stwierdził, że wszystkie roboty może wykonać załoga systemem gospodarczym.

Dokończenie na str. 7